

# DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VI

Warszawa, 15 października 1950 r.

Nr 41 (255)



Św. Franciszek z Asyżu

## Modlitwa o łaskę pełnienia woli Bożej

Wszechmocny, wieczny, sprawiedliwy,  
miłosierny Boże,

pozwól nam nędznym  
czynić przez łaskę Twoją to,  
o czym wiemy, iż jest Twoją wolą,  
i chcieć zawsze tego,  
co podoba się Tobie,  
byśmy oczyszczeni w sercu  
i od wewnątrz oświeceni  
i rozpaleni ogniem Ducha Świętego  
mogli iść w ślad za przykładem  
Syna Twego i Pana naszego  
Jezusa Chrystusa,  
i dotrzeć  
jedynie przez łaskę Twoją  
do Ciebie, Panie Najwyższy,  
Który w Trójcy doskonałej  
i w Jedności prostej  
żyjesz i królujesz w chwale  
Bóg wszechmogący przez wszystką wieczność  
Amen.

## Modlitwa dziękczynienia

Wszechmogący, najświętszy, najwyższy  
mocny Boże,  
Dobro najwyższe, Dobro wszelakie,  
Dobro pełne,  
Ty, który jesteś dobry,  
Składamy Ci wszystką chwałę,  
wszystko uwielbienie,  
wszystko dziękczynienie,  
wszystką cześć,  
i wszystko błogostawieństwo,  
i Tobie oddajemy zawsze wszelkie dobro,  
Amen.

(z poezji św. Franciszka — tł. M. Winowska)

Jerzy ZAGARTOWSKI

## Św. Franciszek i jego biografowie

„W miejscu gdzie stromość zlekka się  
wydłuża  
Słońce tam weszło człowieczego rodu  
Jak owo, co się z Gangesu wynurza  
Kto więc wspominać chce owego grodu  
Nie mówże Asyż — bo rzekłbyś za  
mało  
Lecz Świt, bo słusznie zwać go mianem  
Wschodu...\*)

Zaczynam ten szkic o św. Franciszku wyjątkiem z „Boskiej Komedii” — ponieważ to Dante był po św. Franciszku Bonawenturze jednym z pierwszych znakomych umysłów, które znalazły się pod wpływem owego „słońca człowieczego rodu” i dla których wstąpienie tego słońca w życie oznaczało przełom decydujący.

„Po roku 1313 — pisze ks. K. Michalski — odwróciła się trzecia karta w życiu Dantego — ugodzono go w samo serce. Ukochał Beatrycę i odeszła od niego w kwiecie wieku, ukochał Florencję, był jej najlepszym obywatelem, ale skazała go na wygnanie, ukochał ideę cesarstwa, ale i ona poszła wraz z romantykiem w koronę. Została mu jeszcze czwarta, niepokonana dotąd miłość: „Miłość co wprawia w ruch słońce i gwiazdy”. — Tej miłości miał poetę nauczyć św. Franciszek. I rzecz znamienna, ci, których przejęła franciszkańska potęga miłości — zostają jej wierni do końca życia. Wielki biograf i teoretyk myśli franciszkańskiej św. Bonawentura umierał ze słowami św. Franciszka na ustach. Dantego złożono do grobu we franciszkańskim habitcie.

„Miłość co wprawia w ruch słońce i gwiazdy” — potrafił przede wszystkim poruszyć najgłębiej ukrytymi strunami duszy ludzkiej i działać na nią nawet zza grobu. Wejście św. Franciszka do literatury i początek jego triumfalnego pochodu przez nią miał miejsce już po jego zgonie. Niewiele ze świętych może się poszczycić taką wędrówką przez uczone foliały profesorów, przez poematy, liryki i wyznania liryczne, niewiele z nich może stwierdzić to, co św. Franciszek mógłby powiedzieć w każdej chwili: że nigdy nie był „tylko” literackim tematem. Ktokolwiek o nim pisał albo wplatał go w swe dzieło dawał wyraz pewnemu własnemu, wewnętrznemu procesowi, którego karta zapisana była tylko nikłym odbłaskiem. I to niezależnie od wyznawania, czy też niewyznawania prawdziwej wiary. Ernest Renan był sceptykiem a przecież jego obojętny, doskonały literacko styl załamuje się, gdy pisze o św. Franciszku. Zapewnia o swojej sympatii do Niego, nie może oprzeć się potrzebie wyznań osobistych. Wrogi katolicyzmowi pozytywista Hippolit Taine, skoro zwiedził Asyż pośpieszył natychmiast z zapewnieniem w liście do matki:

„Jeżeli jestem przeciwny chrześcijaństwu, to nie temu, które reprezentuje św. Franciszek. To jest szczerze i poetycznie — i warte jest w swoim rodzaju tego, co dała Grecja i Renesans”.

\*) Raj, XI, 48 — 57.

Ironiczny Anatol France poważnie się nagle gdy pisze o Franciszku z Asyżu, chociaż pojmuje go najzupełniej błędnie.

Nie sposób wymienić wszystkich pisarzy, którzy przeżyli problem św. Franciszka. Jan Papini poświęca mu głęboki szkic. Karol Péguy widzi go niemal przed sobą, gdy zastanawia się nad rozwiązaniem podstawowych zagadnień społecznych. Myśl franciszkańska towarzyszy Chestertonowi w drodze do Kościoła i ucieleśnia się w doskonałą książkę o Świętym, pisaną w roku oficjalnego przejścia pisarza na katolicyzm. A ktoś z artystów, którzy odwiedzieli drzemiący w umbryjskiej dolinie Asyżu technicy legenda i prawdą franciszkańską nie zachował jego widoku na zawsze, nie pozostał mu wierny, jak chociażby Jan Joergensen.

Artystów obdarzonych z natury wrażliwością duchową dlatego przykuwa życie Franciszka z Asyżu, ponieważ zrealizował on ideał, pod który podciąga się bez umiaru wszystkich znakomych ludzi — ideał pełni chrześcijaństwa. Wszystkich przejmują prawdę da fakt, że elementy składające się na ową pełnię, stanowią jedynie w Bogu całość, z Nim nierozdzielalną i od Niego uzależnioną. Dlatego zauważono wyższość św. Franciszka nad Odrodzeniem, ponieważ jego humanizm teocentryczny stawiający człowieka w perspektywach nieskończoności przewyższa renesansowy humanizm antropocentryczny, którego ów wielki święty miał być prekursorem.

Cóż bardziej poruszającego fantazje twórczą niż towarzyszenie św. Franciszkowi na szlakach jego życia łączących przeciwstawne niemal krańce! Iść z nim wśród kwietnych pól ankońskich w atmosferze jego klasycznej niemej pogody i umiłowania natury, wśród pól, które wydały owe przepiękne „Fioretti” — „Kwiatki św. Franciszka” — i dojść wreszcie na szczyt samotnej, skrytej w mgłach góry Alverna, gdzie nastąpił wstrząsający cud stygmatyzacji znakami Męki Pańskiej. Towarzyszyć mu od momentu, gdy porzuca wygodny dom rodzinny, wyrzeka się wszystkiego, co nazwać można własnością, rzuca się samotny w przestrzeń wrogiego świata — aż do momentu, gdy staje się nieodróżnialnym przelożonym, niemal ojcem maleńkiej grupki pnącej się do tego samego ideału, gdy układa w Forte Cołombo w dolinie Rieti swoją epokową pierwszą regułę. Obserwować go, gdy idzie z pieśnią trubadura przez świat jako ów Poverello, jako przysłowiowy kochanek Pani Biedy i dojrzeć na dnie tej nieustannie nuconej pieśni myśl — tę wielką myśl franciszkańską, która ruszyła na podbój świata, myśl, którą filozofowie później zamykali w ramach swych systemów.

Wielu pisarzy odbyło tę drogę idąc za Świętym od domu Piotra Bernardone w Asyżu aż do Porcjunkuli, gdzie zakończył swe życie. Wielu pozostało tam sercem już nie zawsze. Ale wszyscy pozostawili owoc swych wędrówek:

książki tworzące dziś tę odrębną od wszystkich literaturę franciszkańską. Wiele z tych dzieł spełniło ważną rolę w badaniach nad życiem i epoką św. Franciszka, niektóre z nich miały dla tych badań znaczenie decydujące. O autorach owych biografii lub monografií Świętego piszę w niniejszym szkicu. Byli oni prawdziwie wierni Franciszkowi z Asyżu — tak jak tego wymaga wielka i wszechmocna miłość o jakiej pisał Alighieri Dante.

### SW. BONAWENTURA

Św. Bonawentura, autor pierwszej krytycznej biografii św. Franciszka, urodził się w 1221 roku. Gdy miał lat 5, zmarł św. Franciszek przyniesiony do swej Porcjunkuli, gdzie rozpoczął przed laty działalność. Ale przed śmiercią ujrzał przelotnie małego Bonawenturę — przyszłego świętego — i wyrzekł doń słowa uważane za prorocze: „Wielki to będzie człowiek w Kościele Bożym i dzięki niemu zakon mój podniesie się w cnoty i pomnożenie”. Przez całe życie św. Bonawentura będzie usiłował zachować w pamięci wspomnienie tego bezpowrotnie minionego momentu, gdy widział swego Mistra.

Mając 17 lat wstąpił w szeregi jego zakonu. W 20 lat później był już jego mężem opatrnościowym.

Trzeba znać ówczesną sytuację wewnętrzną zrzeszenia franciszkańskiego, aby zrozumieć w pełni na czym polegało znaczenie nadejścia rozsądnego i natchnionego idea franciszkańskiego męza. Oto toczył się spór pomiędzy wyznawcami „regula prima” pierwszej reguły św. Franciszka, przykazującej zachowywać absolutne ubóstwo, a odłamem posłusznym „regula bulatta”, regule złagodzonej nieco przez papieża Honoriusza III, uznanej zresztą przez Świętego. Było i trzecie stronnictwo nie zachowujące ani jednej reguły, ani drugiej. W to ognisko powiał jeszcze wiatr „joachimizmu” teorii Joachima de Flore wieszczącej nadejście nowej, należącej do zakonu franciszkańskiego epoki.

W czasach tych burz wewnętrznych św. Bonawentura studiował filozofię na Sorbonie pod opieką profesora Aleksandra de Hales, rozwijając swe wrodzone zdolności. Niebawem sam otrzymał katedrę. Ale w decydującym momencie zjawiał się w Nazbronie na Zgromadzeniu Zakonu, aby podeprzeć chwiejące się dzieło franciszkańskie. Zjazd miał wybrać generała zakonu, ponieważ Jan z Parmy ustąpił zniechęcony, wskazując na Bonawenturę, jako na najgodniejszego swego następcę. Mając więc 36 lat stał się najwyższym zwierzchnikiem franciszkanów. Czuł dość sił aby podjąć temu zadaniu. Wsparł się pewnie na papieskiej „regula bulatta” i rozpoczął dzieło reformy.

W rok później kapituła narbońska powierzyła mu napisanie biografii świętego Założyciela zakonu, aby — jak czytamy w tym zleceniu — „poważnie i prawdziwie przedstawienie faktów, zastąpiło wiele niezupełnych i ułamko-



wych legend, obiegających pomiędzy ludźmi". Wówczas bowiem już poszedł w zapomnienie pierwszy życiorys Świętego napisany przez pieśniarza i poetę Tomasza z Celano, a do szeregu podań ludowych, które weszły do popularnego zbioru „Fioretti” — „Kwiatków św. Franciszka” należało się ustosunkować krytycznie.

Przed wszystkim więc celem zebrania prawdziwych danych wyruszył św. Bonawentura do brata Leona, niegdys najbliźszego ucznia św. Franciszka, i do brata Numinata, prowinejała umbryjskiego, który towarzyszył Świętemu w wyprawach do Ziemi Św.

Brat Leon — ta „owieczka boża” — jak go nazywał św. Franciszek, był wówczas blisko dziesięćdziesięcioletnim starcem zamieszkującym pustelnię i żyjącym tylko wspomnieniem z dni spędzonych ze Świętym którego myśli był jedynym powiernikiem.

Po długich rozmowach z nim św. Bonawentura mógł przystąpić do pracy. Nie gardził jednak i relacjami istniejącymi na piśmie, a to: „Vita prima” Celana, tegoż „Vita secunda” oraz legendą „Speculum perfectionis”. Nie omisszał również uczynić tego, co będą czynić wszyscy, chcący poznać życie Świętego: udał się do Assyżu.

Zwiedzał go dokładnie, chodził uliczkami, po których on chodził, odnajdywał niemal w kamieniu ślady jego stóp. A później wdrapał się po setkach wykulych w skałe stopni na szczyt góry Alverna odwiedzonej jedynie przez sokoi, gdzie do św. Franciszka przyleciał serafin niosąc mu dar stygmatów. Z tej wyżyny ujrzał to tajemnicze życie jak na dłoni. Zstąpił więc z góry, powrócił do klasztoru i zaczął je opisywać. Prostymi, niewyszukanymi zdaniami opowiedział rewolucję wewnętrzną młodzieńca assyjskiego, syna Piotra Bernadonne, jego pierwsze miłosierne czyny i początki zakonu Braci Mniejszych.

Na tym pisaniu zastał go kiedyś św. Tomasz z Akwinu i powiedział: „Nie przeszkadzajmy Świętemu, gdy pisze o świętym”. Nie mylił się mówiąc te słowa.

Po zakończeniu „Zywota” — św. Bonawentura zajął się systematyzacją filozoficzną myśli franciszkańskiej, napisał swoje słynne „Itinerarium mentis in Deum” — arcydzieło literatury mistycznej.

Pozostał zawsze wierny Świętemu Franciszkowi. Nawet wtenczas, gdy orientując się w niebezpiecznej sytuacji Kościoła przyjął godność kardynała i biskupa albańskiego, nie zapomniał o nakazie pokory i ubóstwa. Pozostał prawdziwie „ubogi duchem” — jak tego żądał jego Nauczyciel z Assyżu.

#### OD OZANAMA DO SABATIERA

Odrodzenie, którego nadejście miał św. Franciszek przepowiadać swym życiem, nie uznało jego zasług ani wartości. Tym bardziej nie uczyniło tego francuskie Oświecenie. W murach klasztornych cisli i sumienni bollandyści gromadzili dane dotyczące świętych, spisywali księgi, będące wzorem pracy historycznej, ale kulturalna Europa nie myślała o nich. Zagrzebane w kurzu bibliotecznym leżały świetne „Annales” Waddiga — zbierające moc przyszłych do życia świętego Franciszka i dziejów zakonu Minorytów. Trzeba było, aby znalazł się człowiek, który wprowadziłby tę potężną a nieznaną postać Świętego do Panteonu ówczesnego społeczeństwa. Tym mężem stał się młody profesor Sorbony, znany ze swej działalności dobroczynnej — Fryderyk Antoni Ozanam, historyk, współwyznawca teorii Micheleta i Lacordaire'a.

Święty Franciszek objawił mu się w pięknej swej poezji i w poezjach swoich towarzyszy. Książka jego „Les poètes franciscains — Poeci franciszkańscy” — wydana w roku jego śmierci — 1853 — była decydującym wkładem w dzieło odrodzenia franciszkańskiego w Europie. Tłumaczona na szereg języków pa-

Gdy 20 lat przedtem Ozanam zakładał fundamenty pod stowarzyszenie św. Wincentego à Paulo, które później rozrosło się do tak niesłychanych rozmiarów — już bliska mu była idea franciszkańska. Myślał o niej wygłaszając swoje niezrównane wykłady o filozofii średniowiecznej o Dantem. W roku 1847 i on wyrusza do Assyżu, aby poznać tam — jak pisze — sekret świętości i ziemię, gdzie narodził się ów przepiękny „Hymn do słońca” — św. Franciszka oraz „Kwiatki”. Oglądając krajobrazy, na które patrzył święty, powtarzał strofy tego Hymnu.

Po powrocie cały swój ogromny talent historyczny, artystyczny i dydaktyczny poświęcił Ozanam popularyzacji poezji franciszkańskiej. Mimo swej przedwczesnej śmierci dzieła swego w znacznej mierze dokonał.

Ozanam uczynił bardzo wiele, ale przedsięwzięcie jego należało podtrzymać. Brakowało przecież nowoczesnej monografii historycznej wykorzystującej cały ogrom zebranych przez wieki przyczynków. I tutaj trzeba ze smutkiem stwierdzić, że inicjatywa twórcza w tej dziedzinie wypada z rąk katolików tak samo jak i w dziedzinie monografii o Chrystusie.

Oto w rok po ukazaniu się dzieła Ozanama o franciszkańskich poetach niemiecki protestant A. von Hase wydaje książkę pt. „Sw. Franciszek z Assyżu”, wprawdzie opartą na źródłach, ale przeprowadzającą właściwą protestantom selekcję faktów. Wszystko co nadprzyrodzone zostaje z życia Świętego skrzętnie usunięte. Dopiero w 80 lat później Chesterton wyszedł skutecznie tę bezrozumną metodę.

Książka Hase'go spowodowała wystąpienie wielkiego Ernesta Renana, którego recenzja włączona do tomu „Nouvelles études d'histoire religieuse” znaczyła o wiele więcej dla rozwoju badań franciszkańskich, niż dzieło, z którego powodu została napisana. Istotnie, w tym krótkim szkicu została zawarta jakaś moc inicjatorska zdolna przedstawić całemu społeczeństwu nową postać, godną poznania, a nawet uwielbienia. Tutaj tkwi siła niezaprzeczalnego talentu Renana: pisząc na marginesie dość przeciętnej książki uczynił więcej, niż gdyby książkę napisał. Pisał wprawdzie fałszywie, ale zmuszał do myślenia i reakcji. Przejść to w ogniu sprzeciwów jakie wywołało „Vie de Jesus” powstały katolickie arcydzieła o Chrystusie Papiniego, Ricottiego i inne.

Oczywiście artykuł Renana obfituje w sady, które dzisiaj z punktu obecnego stanu badań historycznych nad Franciszkiem z Assyżu możemy nazwać niedorzecznymi. Dla przykładu możemy podać fragment, w którym Renan tłumaczy genezę stygmatów na ciele świętego. Twierdzi on, że to jeden z braci po śmierci Franciszka poranił go nożem, aby wywołać wrażenie zaszlego cudu. On to w innym miejscu wypowiedział zdanie, które stanie się podwaliną prac krytycznych najwybitniejszego ucznia jego szkoły historycznej — Pawła Sabatiera: że Kościół biorąc pod swój protektorat dzieło franciszkańskie wypaczył jego myśl, zniszczył je. Tę tezę rozwinie w licznych swych studiach, a głównie w „Zyciu św. Franciszka”.

Paweł Sabatier eks-pastor protestancki, wywodzący się z ducha sceptycyzmu renanowskiego, otworzył swymi pracami nową erę badań nad świętym Franciszkiem i minorytami oraz spowodował powstanie katolickiej reakcji krytycznej reprezentowanej chociażby przez Jana Joergensena.

W roku 1894 Sabatier wydaje swoje główne dzieło „Vie de S. François d'Assise”, uwieńczone przez Akademię Francuską, zakończające długi etap jego wędrówek i poszukiwań po ziemi umbryjskiej. Zaczyna się on tak:

„Assyż jest prawie taki sam jak przed sześciu lub siedmiu wiekami. Jego zamek feudalny jest dzisiaj ruiną, lecz miasto zachowało swój dawny wygląd w rzedach wielowiekowych domów wzdłuż długich prostych ulic...”

Sabatier poznał Assyż. Poznał niemal każdy kamień, który mógłby mieć coś wspólnego z życiem Wielkiego Świętego. Zrosł się z tym miastem tak dalece, że do dziś wspominają go jego mieszkańcy. Sabatier spędził dni całe w bibliotekach, poszukiwał nowych danych, porównywał stare. Owocem jego pracy były liczne wydania krytyczne legend franciszkańskich, chociażby pięknej „Speculum perfectionis”, liczne rozprawy dotyczące autentyczności zachowanych dokumentów, a wreszcie główne dzieło — własna interpretacja życia i dzieła Świętego.

Ogromny rozgłos jaki ta książka uzyskała, tłumaczenia na większość języków, było to wszystko świętą nauką dla katolików, że nie należy dawać innym do wypełnienia należącej do swoich obowiązków roboty. Dzieło sabatierowskie mimo swych walorów dostało się na Index, ponieważ zawierało szereg sugestii przejawiających i fałszywych głównie to, że ideał franciszkański jest realizowany jedynie za życia Świętego, później zaś dzieło jego prowadzone przez Kościół staje się jego zaprzeczeniem.

Sądził Sabatier, że w tych burzliwych czasach obalających i sprowadzających na rzeczywistość manowce wszystko cokolwiek było pozbawione silnego oparcia — ruch franciszkański rozwinięty się pełniej pozbawiony protektoratu Kościoła. Obserwując rozwój i dzisiejszą żywotność wyznań protestanckich należy w to wątpić.

Mimo tego piękna książka Sabatiera, rozchodząca się po wszystkich stronach świata spełniła swe zadanie budząc wszędzie zainteresowanie dla dramatycznego życia Świętego. A zadaniem następców stała się jej korektura.

#### JAN JOERGENSEN.

„...Od 18 roku życia był wolnomyślicielem, ateuszem. Zaczął od adoracji natury: był bałwochwałcą samotności, borów, noc, rosy, księżycowej poświaty, cwieciem światła, gwiazd i kojącej ciszy jesieni” — pisał o sobie „W drodze” Jan Jorgensen najwybitniejszy po Sygrydzie Undset pisarz Skandynawii i wielki monografista franciszkański. Urodził się w roku 1866 w rodzinie marynarzy. Mając 21 lat zakończył chlubnie studia przyrodnicze na uniwersytecie w Kopenhadze.

Gdy zajął się literaturą — natychmiast „zaciągnął się” pod sztandary Jerrzego Brandesa, wodza ówczesnych ateistycznych prądów duchowych w Danii. Stał się wyznawcą Schopenhauera i Nietsche'go. W zgodzie z tymi młodzieńczymi poglądami wydał dwie książki: „Lato” i „Drzewo życia”.

Ale prawdziwa jego twórczość leżała nie po tej stronie. Odczuł to wyraźnie gdy odeszwał się w nim niepokój, który, być może, spłynął doń z kart książek Bloy, Huysmansa, Hello. Osłabił nagle jego zapal jako trybuna wojującego sceptycyzmu i relatywizmu, a obudziło się nagle zaciekawienie do katolickiego Średniowiecza, do poezji prymitywów i katedralnych witraży. Podobne były drogi nawrócenia Sygrydy Undset. Niebawem podejmuje podróż po Niemczech i Włoszech — „długą, wspólną drogę z przeciwnikiem” — jak pisał. Tym „przeciwnikiem” Joergensena był Bóg.

Notatnik wrażeń z tej podróży, mamy pod tytułem „W drodze” (znamienny tytuł, przypomnijmy sobie „W drodze” Huysmansa) zawarł cały szereg wyznań pisarza przeżywającego dzieje własnej duszy. Decydującym momentem w owej podróży jest przyjazd Joergensena do Assyżu.

„Nad wieczorem poszli drogą do włoskiego miasta Assisi. Mrok zachodził i żaby rechotały w łożach, około których wilo się dzikie wino”. Assyż tak oczarował Joergensena, że z przerażeniem pozostaje w nim właściwie aż do dzisiejszego dnia. Wówczas jednak przed powrotem do kraju zakończył ostatnią część swej podróżniczej książki „Kronikę Umbryjską” słowami św. Franciszka:

„Ale teraz pragnąłbym, abyś przybył do mojej ojczyzny i założył tam klasztor, abyś mógł znaleźć przy Tobie przystań, w ponownej samotności zdobyć wiarę, za którą tęsknię dzień i noc”.

„Podróż z przeciwnikiem” kończy się pojednaniem, ponieważ po powrocie, 16 listopada 1896 r. pisarz zostaje przyjęty do Kościoła. Ale niedługo już bawi w Kopenhadze, zrywa z dotychczasowym rodzajem twórczości (Joergensen wydał również szereg powieści psychologiczno - obyczajowych i parę tomów liryków) i udaje się w ponowną podróż do Włoch. Kroczy wówczas wolno z księgą „Kwiatków” w ręce po śladach franciszkańskich, jak ongiś czynił to św. Bonawentura, później Ozanam, ostatnio Sabatier. Przybywa do Greccio, gdzie św. Franciszek święcił Boże Narodzenie przy zaimprovizowanym żłobku, udaje się do Forte Colombo w dolinie Rieti, gdzie Święty ułożył pierwszą regułę zakonu Braci Mniejszych, raz jeszcze zwiedza Assyż i klasztor św. Klary, aż wreszcie wspina się na strzelisty szczyt góry Alverna. Z jakim bólem później ją żegna!

A Dio, Monte Alverna, non ci vedremo più! Żegnaj góro Alverna, już cię nie ujrzę więcej”.

Słowa te wyjęte są z książki napisanej bezpośrednio po tej wędrówce: „Piełgrzymki francuszczańskie” — słynne na cały świat arcydzieło joergensenskowskiego, w którym dogłębne przeżycie franciszkańskiego ideału harmonizuje się w doskonały sposób ze stylem pełnym spokoju i poezji.

Wszystko to jednak było wstępem do głównego dzieła Joergensena: „Święty Franciszek z Assyżu na tle swojej epoki” — katolickiej odpowiedzi na dzieło Sabatiera. Nie sposób przedstawić tutaj wszystkich założeń dzieła Joergensena i ich realizacji, ograniczyć się trzeba do ogólnego omówienia. Książka ta przedstawia typ ogromnego objętościowego esaju, (tak jak zresztą i dzieło Sabatiera), ponieważ wielki materiał naukowy zostaje w doskonały sposób wypracowany artystycznie. Co do wizerunku św. Franciszka to sądzi, że jest on najbardziej odpowiadający rzeczywistości. Nie jest bowiem św. Franciszek u Joergensena ani idealnym „poetycznym marzycielem — jak u Renana, ani komedioplastem, jak u niektórych historyków protestanckich, ani zniechęconym „wielkim człowiekiem” w urojęnej walce z Kościołem burzącym jego dzieło — jak u Sabatiera. Nie jest on ani tylko pokornym Poverello i poetą, ani tylko założycielem zakonu i „połitykiem” — jak chcieli niektórzy uczeni. Jego postać została przedstawiona w zgodzie ze znaną nam tradycją, którą Joergensen dokładnie w czasie długich badań przefiltrował i zgodnie ze swoimi własnymi odkryciami. Miał oczywiście ułatwione zadanie dzięki studiom Sabatiera, któremu zresztą na kartach swej książki wyraził swe uznanie. Jego święta literatura i naukowo monografia pozostaje niezastąpiona.

#### G. K. CHESTERTON.

G. K. C. — jak Angliacy nazywają w skrócie swego pisarza; nie jest autorem jakiegoś monumentalnego dzieła o Frańciszkę Serafickim i nigdy, w pewnym tego słowa znaczeniu nie prowadził studiów ani nad nim, ani nad jego epoką. Nie wiem nawet czy był w Assyżu. Mimo to, nieduża książka Chestertona „Sw. Franciszek z Assyżu” wydana w r. 1923 (w rok po oficjalnym zgłoszeniu przez pisarza akcesu do Kościoła Katolickiego) posiada wartość ogromną. Lecz ani wartość historyczną — jak to wynika z tego co przedtem powiedziałem, ani specjalnie literacką. Historykiem nigdy Chesterton nie był, pieczołowicie zgromadzoną wiedzę historyczną zastępowała u niego niewiarygodna wprost intuicja, a pod względem literackim, formalnym — jak twierdzą krytycy — studium o św. Tomaszu z Akwinu stoi wyżej.

O doniosłości esaju o św. Franciszku decyduje fakt, że wielki myśliciel

i intelektualista katolicki potrafił z życia i samej postaci świętego wyciągnąć cechy zasadnicze, reprezentatywne i potrafił trafnością swych paradoksalnych nieraz sformułowań ustawić tę wielką sylwetkę ludzką nie na tle swej epoki, lecz na tle historii w ogóle, potrafił dokonać wspaniałych „wnikliwych skrótów syntetycznych na 150 zaledwie stronach druku. Chesterton nie odkrył żadnego nowego dokumentu z czasów św. Franciszka z Assyżu, nie spędził lat całych w bibliotekach, a jednak każde zdanie niemal w jego książce jest odkrywcze. Może odkrywcze właśnie przez swą ją zadziwiająco oczywistość.

O świętych nie pisano dotąd w taki sposób. Pisano dostojnie, patetycznie lub wzruszająco. A przecież właśnie życie świętego, które w całości stanowi jakiś monumentalny paradoks zrozumiał w całości jedynie dla Boga można najlepiej wyrazić tym stylem skrzającym się grą porównań, metafor; bogactwem nawiązań tematycznych, napęczniałym bogactwem intelektualnym — stylem, którego używa Chesterton. Ale i Chestertona św. Franciszek to nie „tylko” temat dla mistrzowskiego esaju. Jeśli spojrzymy na młodzieńcze jego utwory, już odnajdujemy tam odblaski myśli franciszkańskiej lub myśli jej podobne. Oto czytamy w owej paradoksalnej „Obronie pokory”:

„...Pokora to zbyt kłopotliwa sztuka sprowadzania się do punktu, to jest ani do czegoś tak małego, ani wielkiego, ale do czegoś zupełnie bez wymiaru, tak, że wszystkie rzeczy kosmiczne są w stosunku do niej jak w rzeczywistości — niezmierne”.

„Warunkiem radości jest pokora — czytamy w innym miejscu — ona to daje oczom świeżość spojrzenia, a sercu świeżość odczucia: ona więc wyczyści odnawia ziemię i gwiazdy”. Przy takim ujęciu nie dziw, że pokora św. Franciszka w ujęciu Chestertona to nie tylko postawa uczuciowa, irracjonalna, ale owszem postawa oparta na głębokiej mądrości. Stąd wnosimy, że Chesterton miał podstawy ku temu, aby postać Świętego ukazać we właściwych proporcjach.

Książka Chestertona ma ponadto ostrze polemiczne. Już na początku autor dowcipnie, z humorem rozprawia się z „racjonalistycznymi” metodami badań historycznych u uczonych w rodzaju Renana, Arnolda, Hase'go.

„Poprzestali oni — pisze Chesterton — na towarzyszeniu Franciszkowi ze swymi pochwałami aż do miejsca, gdzie zatrzymywały się ich własne przesady, uparte przesady sceptyków. Skoro św. Franciszek zaczynał robić coś, czego nie rozumieli, albo nie starali się zrozumieć, a tym mniej polubić, po prostu odwracali się tyłem do całej sprawy i więcej się z nim nie bawili”.

Tak samo skutecznie zwalcza on próby dokonywania jakichś abstrakcyjnych uogólnień cech charakteru Świętego. Pisze: „Sw. Franciszek nie kochał ludzkości, ale ludzi”, tak samo jak „nie kochał on chrześcijaństwa, lecz Chrystusa”. Są to wnioski decydujące dla dalszego toku rozumowania, którego siłę argumentacji odsłania, niestety, tylko... przeczytana w całości i w skupieniu ducha książka Chestertona.

W szeregu pisarzy dążących franciszkańskim szlakiem Chesterton ma swoje stałe i dobrze zasłużone miejsce. Dzięki swej wrażliwości artystycznej mógł ten wspaniały pisarz, „enfant terrible” literatury rodzimej przetrwać pomost nie tylko przez siedem wieków oddzielających go od św. Franciszka, ale i przez narosłe w ciągu wieków szablony interpretacji — i ukazać nam jego postać w blaskach swej żywej inteligencji. A może również w temperaturze swej nieliterackiej miłości?

Trzeba kochać prawdziwie, żeby dać tak wspaniałą wizję Świętego, jaką nakreślił Chesterton w zakończeniu drugiego rozdziału swej pracy. Wizję Franciszka Odnawiciela Kościoła, Franciszka przedzierającego się ku lepszemu Dni.



Janusz ZABŁOCKI

## SPRAWA „SILLON”

PRZED kilku tygodniami minęła czterdziesta rocznica głośnej w początkach w. XX sprawy radykalno-demokratycznej grupy katolików francuskich „Sillon”. Rocznicą ta winna przypomnieć nam losy tej grupy, która mimo wszystkich popeinionych przez siebie błędów i niedostateczności swego programu politycznego może być uznana za jednego z prekursorów nurtu społecznie postępowego w katolicyzmie dzisiejszym.

Czasy narodzin „Sillon” przypadają na ostatnią dekadę wieku XIX. Jest to okres, w którym społeczeństwa katolickie Europy zachodniej przenika jak gdyby ożywiony prąd. Katolicyzm, którego zasięg wtedy ograniczono jedynie do normowania życia prywatnego jednostek, a który tym samym izolowany był od jakiegokolwiek wpływu na kształt rzeczywistości społecznej epoki, teraz szuka swego wyrazu społecznego dokonując wysiłku wcielenia swych zasad w bieżącą rzeczywistość. Dążenie to, będąc zrazu programem poszczególnych grup katolickich, uzyskuje oficjalną sankcję oraz wytyczne Stolicy Apostolskiej od kardynała Leon XIII ogłoszone w maju 1891 r. encykliką „Rerum Novarum”, ten jeden z najdonioślejszych aktów w dziejach Kościoła. „Przez długi czas — napisze wówczas Georges Goyau — katolicy mieli tylko jedną kartę: „Syllabus” — kartę negatywną, dzieło destrukcji; dziś mają inną: „Rerum Novarum” — kartę pozytywną, program budowy”. Przeminał okres, którego główną tendencją było odcinanie katolicyzmu od związków z obcym i wrogim światem współczesnym, kształtującym się bez niego i wbrew niemu. Rozpoczął się nowy okres — okres ekspansji katolicyzmu w tym obcym świecie celem przetworzenia go zgodnie z zasadami Ewangelii. Dążenie do odcięcia katolicyzmu od życia publicznego zastępuje się dążeniem do jego obecności w nim.

Nie znaczy to jednak wcale, że dążenie to pojmowano w sposób jednoznaczny.

We Francji u schyłku XIX wieku — biorąc najbardziej schematycznie — istniał wśród katolików podział na dwa przeciwstawne sobie obozy. Podział ten był zresztą odbiciem rozdarcia politycznego całej ówczesnej Francji. Nie zapominajmy bowiem, że III Republika — ta republika, która ustanowiona została w roku 1875 większością jednego głosu w Zgromadzeniu Narodowym — podminowana jest w tym czasie silną i wpływową opozycją monarchistyczną.

Większość francuskiego społeczeństwa katolickiego jest zorientowana wyraźnie na monarchię. Wynika to z kulturowanej w tych kołach legendy o „chrześcijańskim” ancien regime i „beżbożnej” rewolucji francuskiej; sojusz ołtarza z tronem urastał w takiej sytuacji do zasadniczego kanonu politycznego. Okres od roku 1789 jest uznawany za okres jakiegoś staczenia się po równi pochyłej, za epokę postępującej dechrystianizacji i dekadencji. Toteż chrystianizacja życia publicznego wymaga według zwolenników tej koncepcji przekreślenia tego wszystkiego co „jest dorobkiem rewolucji i powrotu do stanu rzeczy sprzed 1789 roku, modyfikując go tylko o tyle, o ile jest to koniecznością. Rozumowanie takie cechuje nie tylko ten odłam monarchistów, który zasadniczo odrzuca wytyczne „Rerum Novarum”, uznając je za niedopuszczalny kompromis. Podobne rozumowanie ciąży i na tych spośród obozu monarchistycznego, którzy przyjmując w zasadzie „Rerum Novarum” usiłują nadać mu interpretację konserwatywną. Tak na przykład konstrukcje teoretyczne grupy „Oeuvre des cercles” hrabiego de Mun i markiza La Tour du Pin nosiły niewątpliwie charakter próby wskrzeszenia w unowocześnionej postaci szeregu instytucji typowych dla struktury społecznej ancien regime'u, zaś „katolicy społeczni” skupiający się przy tej grupie są z reguły monarchistami.

Przeciwko temu stanowisku narasta jednak w łonie społeczeństwa katolickiego opozycja. Obejmuje ona zrazu nieliczne jednostki i grupy, głównie młodzież i demokratycznych księży. Opozycja ta kieruje się nie tylko przeciw skrajnie reakcyjnemu skrzydłu monarchistów, temu dla których „Rerum Novarum” było zdradą katolicyzmu. Kieruje się ona również przeciw monarchistyczno-konserwatywnym interpretacjom encykliki. Zarzuca się „Oeuvre des cercles” — jak to czyni Goyau — że spełnia w istocie funkcję „biura wyborczego w służbie monarchii”. Tworzący się ruch „chrześcijańsko - demokratyczny” przeciwstawia się absurdalnej opinii jakoby jedynie ancien regime był formą polityczną możliwą do przyjęcia przez katolika, reprezentując pogląd, który po ogłoszeniu przez Leona XIII pisma „Au milieu des sollicitudes” i po rzuceniu przez niego hasła „ralliement” powinien mieć wśród katolików moc obowiązującą: pogląd, że katolicyzm jako prawda wieczna nie jest w sposób konieczny związany z żadnym systemem ustrojowym. Zgodnie z tym poglądem „chrześcijańscy demokraci” opowiadali się za republiką, w przekonaniu, że w ich warunkach historycznych wytyczne encykliki „Rerum Novarum” mają szansę realizacji jedynie na gruncie akceptacji ustroju republikańskiego. Realizację ideału przetworzenia rzeczywistości społecznej w duchu katolickim pojmowali więc nie jako negację całej historii XIX wieku i cofnięcie się do struktury przedrewolucyjnej Francji, ale jako dążenie do wnie-sienia tego ducha w już istniejącą republikancką i demokratyczną rzeczywistość, rozumiejąc, że jest ona rezultatem nieodwracalnych procesów historycznych. Sił potrzebnych do realizacji tego ideału szukali nie w sojuszu z warstwami pokonanymi przez rewolucję 1789 roku, ale w sojuszu z tymi siłami socjalnymi, które w niej odniosły zwycięstwo i które dzięki swej dynamice kształtują teraźniejszość.

Spór polityczny między monarchistycznie zorientowanymi „katolikami społecznymi” a nastawionymi na republikę „chrześcijańskimi demokratami” znalazł swój odpowiednik intelektualny w konflikcie między integralizmem a modernizmem. Modernizm, którego pojawienie się u schyłku ubiegłego wieku wywołane zostało szybkimi postępami wiedzy, zwłaszcza przyrodniczej, oraz postępiami antyklerykalizmu i wolnomyślicielstwa w masach, domaga się radykalnych zmian wewnątrz Kościoła i przystosowania go do nowych warunków poprzez reformę organizacji wewnętrznej i pogodzenie — nawet za cenę kompromisu — jego dogmatów i etyki z najnowszymi zdobyczami wiedzy.

Integralizm nie widząc potrzeby jakiegokolwiek dostosowania się do nowych warunków i uważając to za niedopuszczalny kompromis ze „światem” kładzie nacisk na zachowanie tradycji i utrzymanie dotychczasowych form, jak gdyby nie były one same kompromisem z przeszłością, w której powstały. Istotą tego sporu, który — choć dziś należy do historii — nie stracił jednak wiele ze swej aktualności, najlepiej jak się wydaje przedstawia Jacques Maritain w „L'ideał historique d'une nouvelle chretienté”. Istnieją — mówi Maritain — dwa błędy, jednak groźne dla katolików, którzy pragną niezmiennie zasady swojej religii wcielić w życie społeczne. Są to filozofia jednoznaczności i filozofia wieloznaczności. Pierwsza, wychodząc z założenia, że zasady katolicyzmu są niezmiennie i ponadczasowe, żąda ich realizacji zawsze w ten sam sposób, żąda jednego i niezmiennego wzorca realizacyjnego, nawet dla bardzo odmiennych epok historycznych.

Druga wychodząc z założenia, że życie społeczne ulega w ciągu dziejów ewolucji i wymagając w każdej epoce innego sposobu realizacji, innego wzorca realizacyjnego, dochodzi aż do naruszenia niezmienności i ponadczasowości realizowanych zasad. Pierwszy błąd jest błędem intergralizmu, drugi błędem modernizmu.

W takich warunkach historycznych miały miejsce narodziny grupy „Sillon”.

W roku 1891 grupa uczniów paryskiego collège Stanislas zaczyna wydawać pismo młodzieżowe „Bulletin de la Crypte”. Dziwaczna nazwa tego pisma pochodzi od żartobliwej nazwy podziemnej sali, w której grupa ta odbywała swoje zebrania. Zespół składał się z młodych ludzi, którzy zadali sobie trud głębszego przeżycia katolicyzmu i podporządkowania jego zasadom całości kształtu życia, zarówno osobistego jak społecznego. Rodzice tych młodych ludzi, przeważnie zaci burżuazyści, przyglądali się ze zdziwieniem ale i z rosnącym zaniepokojeniem postępowaniu swych synów, którzy zamiast — jak należało — myśleć o zrobieniu fortuny lub kariery urzędniczej dawali się ponieść w sposób niezrozumiały ekstaty religijnej i radykalnie demokratycznym mrzonkom. A postępowanie tych młodych ludzi istotnie mogło obudzić zainteresowanie. W r. 1849 wydają oni pierwszy nr pisma „Sillon” („Bruzda”), którego nazwa stanie się nazwą rozwijającego się coraz bardziej ruchu. Już w pierwszych numerach tego pisma — poprzez bardzo egzaltowane i bardzo młodzieńcze frazesy w rodzaju „sprawa” „wspólna dusza”, „iść ku prawdzie całą duszą” itd. — przewija się szczerza żarliwość religijna i gorące umiłowanie ideałów republikańskich i demokratycznych. Młodzi ludzie z „Sillon” rozpoczynają swoje zebrania modłami, czytają na nich wspólnie ewangelię i pisma wielkich myślicieli chrześcijańskich, w szczególności ulubionego Pascala; organizują „kółka studiów” i urządzają zebrania publiczne. Rozrastająca się grupa przekształca się w roku 1900 w ruch polityczny oparty na programie radykalnej demokracji chrześcijańskiej, wydaje własny tygodnik „Eveil democratique”, a potem dziennik „La Democratie”, który staje się jego organem.

Na czoło zespołu wybija się od samego początku młody Marc Sangnier, pochodzący z zamożnej i znanej w Paryżu rodziny mieszczańskiej. Jego głęboko przeżywany katolicyzm i gorący zapał dla sprawy sprawiedliwości społecznej, jego konsekwencja w służbie tym zasadom, wreszcie niepośledni talent mowy, pozwalają mu wywierać przemożny wpływ na towarzyszy. Jego urok osobisty oddziaływała także na przeciwników. Musiał to przynajmniej człowiek tak wrogi ideałom „Sillon” i tak zażarcie je w ciągu całego życia zwalczający, jak Charles Maurras, późniejszy przywódca „Action Francaise”: „Marc Sangnier jest młodym człowiekiem z dobrej rodziny, zdolnym, z niezrównanym talentem słowa, który trwoni to, co dla ludzi nowoczesnych jest więcej niż życiem — swój majątek, majątek ponoć znaczny — na rzecz tego co uznaje za prawdę... Ten młody człowiek jest potęgą”. Dotknięta jest tutaj istotna cecha różniąca „Sillon” od większości ówczesnych partii politycznych: oto politykę traktują ci młodzi ludzie jako służbę prawdzie, nie cofając się przed ofiarami. Dla przeciwnego polityka mieszczańskiego tamtej epoki, nastawionego na czerpanie ze swej działalności profitu osobistego, musiało być coś bardzo niepojętego w postępowaniu Sangniera, któryłożył w własnej kieszeni na potrzeby ruchu, poświęcając na przykład

swoją nieruchomości przy bulwarze Raspail na założenie tam drukarni pisma „Sillon”.

W roku 1904 urzędują „Sillon” pielgrzymkę do Rzymu składając adres z zapewnieniami wierności na ręce ówczesnego papieża Piusa X, który przyjmuje sillonistów życzliwie i udziela im błogosławieństwa oraz zachęty do dalszej służby. W ten sposób Ojciec św. wyraża swoją ocenę ich działalności na terenie Francji, znaczenie której było naprawdę niemałe.

Jaki program społeczny głosi „Sillon”?

Demokracja jako system społeczny jest jego zdaniem najdoskonalszym z systemów, ponieważ dąży do maksymalnego podniesienia świadomości i odpowiedzialności obywatelskiej każdej jednostki. Sillonści są entuzjastami idei wielkiej rewolucji francuskiej. Uważają swoją grupę za „dziedzica wielkich republikańców — rewolucjonistów”, wznoszą toasty na cześć „rewolucjonistów z Sillon — odważnych kontynuatorów roku 1792”. Nawet pisarze wolnomyślni jak Ferdinand Brison, którzy przywykli do tego, że katolik jest z reguły sprzymierzeńcem tronu, zdumiewali się znajdowanym w „Sillon” autentycznym „duchem republikańskim”.

Sillonści szli jeszcze dalej. Demokracja nie może być bynajmniej sprzeczna z katolicyzmem. Przeciwnie — Ewangelia jest właśnie wykładem najczystszych idei demokratycznych. Ta naczelna teza o demokracji jako społecznej konsekwencji katolicyzmu, która jest fundamentem ideologii „Sillon”, jest jednak uzasadniana niekiedy w sposób dość niepokojący! Przeglądając pisma tej grupy moglibyśmy znaleźć artykuły, poświęcone dowodzeniu, że np. prototypem równości demokratycznej jest równość trzech Osób Boskich w Trójcy Świętej, albo że misterium Eucharystii jest zarazem misterium demokratycznego braterstwa. Widzimy tu owo charakterystyczne pomieszanie planów przyrodzonego i nadprzyrodzonego, które tak tragicznie zaważy na dalszych losach grupy.

Jednakże warunkiem powodzenia demokracji jest wychowanie człowieka. „Aby demokracja była możliwa — mówi Sangnier — musi dojść do pewnego utożsamienia między interesem wspólnym a partykularnym interesem moralnym każdego obywatela”. Toteż demokracja — choć brzmi to paradoksalnie — wymaga pewnej elity. Sangnier uzasadnia to następująco: „Siły społeczne ią na ogół zorientowane ku interesom partykularnym, stąd z konieczności przeciwnych i dążących do zneutralizowania się wzajemnego... Wystarczy więc, aby pewna niewielka ilość sił wyzwolonych z brutalnego determinizmu i z interesu partykularnego

zorientowana była ku interesowi ogólnemu, żeby wypadkowa tych sił, choć znacznie niższa ilościowo od sumy wszystkich innych sił, była przez to wyższa od ich wypadkowej mechanicznej. Stąd, jeżeli znajdzie się centrum przyciągania, zdolne do skierowania w tym sensie owych sił które się przeciwstawiają i neutralizują, te ostatnie zostaną przeważone i problem zostanie rozwiązany”. Stworzenie zaś tego rodzaju elity, zdolnej do poświęcenia się wyłącznie interesowi ogólnemu z pominięciem własnych interesów partykularnych jest niemożliwe bez oparcia się o potęgę moralną katolicyzmu, tego niewyczerpalnego źródła miłości i jedności. Dlatego „Sillon” pragnie „wprząc w służbę francuskiej demokracji siły socjalne, które znajdujemy w katolicyzmie”.

Nie trudno dostrzec w tej teorii wpływy indywidualizmu typu Rousseau. Trzeba by jej zarzucić, że „interesy partykularne” walczące z sobą pojmują dość mechanicznie, że pragnie aby nowa elita demokratyczna wzniosła się ponad nie do jakiegoś abstrakcyjnego interesu ogólnego, zamiast dokonać wysiłku zgłębienia przyczyn antagonizmów społecznych rozdzierających społeczeństwo i zbadać, które z tych partykularnych interesów są słuszne i uzasadnione sprawiedliwością. Ideologia „Sillon” uległa wyraźnie ideałistycznej koncepcji „elity” — abstrakcyjnego tworu społecznego, oderwanego, górującego nad masami społecznymi. W ideologii „Sillon”, widać tendencje do wyabstrahowania się z rzeczywistości walki sił społecznych na jakieś abstrakcyjne, „ponadklasowe” stanowisko kompromisu społecznego.

Ocena ta, uzasadniona późniejszymi doświadczeniami politycznymi, nie ujmuje w niczym zasług „Sillon” jako grupy katolików w owych czasach postępowej społecznie. Aczkolwiek program polityczny „Sillon” reprezentował faktycznie interesy mieszczaństwa, nie był to w każdym razie interes wielkiej burżuazji. Radykalizm demokratyczny „Sillon” nakazywał mu w szeregu wypadków występować przeciw wielkiej burżuazji ramię w ramię z socjalistami. Sillonści agitują za wprowadzeniem do fabryki zbiorowego układu pracy, upatrując w nim środek kładący kres wyzyskowi pojedynczego robotnika. Prowadzą też kampanię przeciw pracy nocnej i za wypoczynkiem niedzielnym robotników piekarskich. (Ażby przełamać zakorzenione opory i wykazać realność proponowanych inowacji Sangnier zakłada przy ul. Las Cases spółdzielczą piekarnię, gdzie się wypieka chleb w dzień). Pozytywnych rozwiązań problemu robotniczego szuka „Sillon” jednak nie w socjalizmie ale w spółdzielczości, której poświęca marcowy kongres w 1910 roku a która może najbardziej odpowiada indywidualistycznemu radykalizmowi grupy.

Janusz Zabłocki.

W następnym numerze artykuł J. Zabłockiego p. t. „Tragiczne dni Marka Sangnier”.

Już ukazała się w sprzedaży powieść

GEORGES BERNANOS  
PAMIĘTNIK  
WIEJSKIEGO  
PROBOSZCZA

nakładem sp. wydawniczej „PAX”

Cena 900 złotych

Skład główny „Veritas”

W-wa Nowokrucza róg Widok



Ks. Jan NOWICKI

## POLEMIKA O MARSHALLA

W numerze 32 „Dziś i Jutro” p. A. P. skreślił kilka uwag na temat mojego artykułu „Księża Marshalla” („Homo Dei” Nr 3). Uwagi pana A. P. referują tylko część moich poglądów na „Chwałę cór królewskiej”, dlatego uważam za konieczność uzupełnić je i we właściwym świetle przedstawić.

1. Razem z panem A. P. mam wielkie współczucie dla ludzi, którzy sądzą, że „o poważnych sprawach można mówić — i trzeba — tonem śmiertelnie poważnym”. Dlatego w artykule swym pochwaliłem Marshalla za wysoką klasę humoru, pisząc wyraźnie: „Umiemy się poznać na wielkim talencie humorystycznym Marshalla”. Marshallowi wytknąłem tylko brak umiaru w humorze, tę okoliczność, że całą książkę od początku do końca utrzymał w tonie humorystycznym. Sądzę bowiem, że humor może być tylko przyprawą, ale nie powinien być głównym daniem w książce tego rodzaju. To coś podobnego jak z ciastkami. Wy znają, że lubię ciastka i lody, ale gdyby cały obiad miał się składać z ciastek i lodów, nie zachwycałbym się tym wcale. Poprosiłbym o coś solidniejszego, choćby pieczeń wołową z kartoflami.

Ośmielam się też przypomnieć, że we wstępie do artykułu zaaprobowałem wszystkie pochwały, jakie pod adresem „Chwały cór” wypowiedział p. Józef M. Święciecki („Homo Dei” Nr 1), a było ich nie mało.

2. W sprawozdaniu p. A. P. czytam: „Ks. Nowicki ma pretensję do Marshalla, że przedstawił jakieś karykaturalne i dziwaczne typy księży”. W rzeczywistości rzecz ma się przeciwnie — o żadnej pretensji nie było wzmianki. Wprawdzie napisałem: „Marshall oddał du chowieństwu niedźwiedzia przy służę. Odkrył masę małostek i śmiesznośc, a nie wyrównał tej malizny żadną postacią na miarę bohatera”. Jednak po tym stwierdzeniu zaraz dodałem: „Nie robię mu z tego zarzutu. Tacy księża istnieją”. I wcale się nie domagam, by „literatura była apologetyka”, jak mi to p. A. P. insynuuje. Ja tylko chciałem zaprotestować przeciwko niektórym recenzjom, a zwłaszcza przeciwko słowu wstępnemu do „Chwały cór królewskiej”, jakoby typy księży w niej występujące były specjalnie wartościowe. Starałem się wykazać, że nie ma powodu do zachwytów.

3. Ostatni zarzut p. A. P. brzmi: „Ks. Nowickiego niepokoi fakt wyraźnego lekceważenia przez Marshalla wagi grzechów nieczystych”. Tutaj w pełni przyznaję rację panu A. P.! Nie tylko mnie niepokoi, ale nawet przeraża pływająca w rozumowaniu tych katolików, którzy uważając grzechy przeciwko miłości za najcięższe bagatelizują wielką odpowiedzialność za grzechy przeciwko VI przykazaniu. Gorzej, bo p. A. P. źle zrozumiał św. Augustyna, powołuje się na powagę wielkiego Doktora, jakoby „miłość, nawet nieczysta, była cza sami resztką, śladem, echem prawdziwej miłości”. Św. Au-

gustynowi chodziło o całkiem błaziwi krytycy katolicycy mogą innego, mianowicie o to, że nawet gdy człowiek dąży do zła, to i wtedy kieruje się miłością dobra, bo zło, do którego dąży, uważa subiektywnie za coś dobrego.

Przyznaję rację panu A. P., że „wyzysk człowieka przez człowieka nie z miłością nie ma wspólnego” i dodaje: jest zbrodnia wołająca o pomstę do nieba. Ale także i to jest prawdą, że grzech przeciwko VI przykazaniu również nie ma nic wspólnego z miłością, nadto jest potwornym wyzyskiem drugiej strony i prowadzi do poważnych następstw społecznych (dziecko!) W swoim artykule przypomniałem katolickim krytykom polskim, że rozpuszta jest: 1) grzechem przeciwko miłości; 2) występkiem antyspołecznym; 3) wyzyskiem głupoty i słabości kobiety.

Pod tym względem zbyt po-

Włodzimierz BOBULA

## O WILIAMIE WORDSWORTH

(W stulecie jego śmierci)

W kwietniu br. minęło sto lat od śmierci Wiliama Wordsworth'a zaliczanego do największych poetów angielskich, a najwybitniejszego w epoce romantyzmu, chociaż współczesnymi jego byli: Byron i Shelley. Twórczość jego jest b. obszerna, zbiorowe wyd. z r. 1882-1886 obejmowało 16 tomów. Krytycy oceniali go przeważnie pozytywnie, choć nie brak było i ataków na niego, napisał bowiem trochę wierszy słabych. Ale kogo i czego nie atakują krytycy? Z jednego z wierszy poety dowiadujemy się, że krytycy ówczesni atakowali formę sonetu, gdyż Wordsworth przeprowadził obronę tej formy („Sonet”, wiersz II). — „Krytycy, nie gardźcie sonetem... bo przecież Szekspir otworzył tym kluczem swe serce” — (i wymienia dalej mistrzów sonetu, jak: Tasso, Petrarka, Dante, Spencer i Milton). A przecież, gdy Wordsworth miał lat 28, urodził się Adam Mickiewicz, by napisać naprzekór krytykom — Sonety Krymskie.

Wordsworth żył w czasach głębokich przemian gospodarczych i politycznych. Ur. w r. 1770, mógł obserwować rozrost potęgi kolonialnej swego kraju. Wielką Rewolucję we Francji i wojny napoleońskie. Rozbudowa przemysłowa Anglii, powodująca zniszczenie krajobrazu i „Natury”, którą Wordsworth uwielbiał, spowodowała, że usunął się on do cichego zakątka (miejsceowość Grasmere), gdzie mieszkał od r. 1779 wraz ze swą siostrą Dorotą do końca życia, podróżując sporadycznie na kontynent, oraz do Irlandii i Szkocji. W młodym wieku był we Francji — w początkach rewolucji, dla której miał zrazu wiele sympatii, następnie ochłodzonej.

Mimo, że żył 80 lat — przestał pisać niemal zupełnie, będąc w średnim wieku, tj. ok. r. 1815. Zastanawiano się nieraz, dlaczego? Może z powodu niechęci do nowego nieznanego i nielubianego świata? I nie on jeden to odczuwał. Bo oto zyskał poczytność i sławę w mieszanych miast. Drugim powodem go

jego popularności było szerzenie się wątpliwości religijnych w owym czasie. Czytano więc wiersze Wordsworth'a, by znaleźć w nich pociechę duchową. Piękne są opisy przyrody w wierszach Wordsworth'a, lecz nie ograniczył się on tylko do opisu. Szukając bowiem, jak inni poeci doby romantyzmu, niezwykłych wrażeń i doświadczeń duchowych, widział, że piękno przyrody wywołuje w nim wrazenia, dzięki którym łatwiej jest mu dostać się do sekretnych zakątków duszy ludzkiej. Oto fragment wiersza pt. „Odwiedziny Opactwa Tintern”, który ilustruje powyższe wywody:

Przeto zawsze jestem  
Milośnikiem łąk, lasów i gór;  
I dostępnego dla uszu i oczu  
Tęgo potężnego świata,  
Który one odtwarzają: chętnie  
Poznaję w naturze i języku,  
Kotwicę najczystszych myśli,  
Przewodnika, strażnika mego  
I duszę mojej moralnej istoty.

Wordsworth interesował się stosunkiem człowieka do przyrody. Widział nierozdzielny związek z nią i uważał, że dzięki poznaniu jej i wtopieniu się w nią, człowiek zbliża się do Boga.

„Dla jego poprzedników stąpały po podziemiach i trawników: dla niego były zakorzenione głęboko w żywym gruncie, z którego wszystko, a więc i człowiek, wyrasta, pisze Edward Muir: Pierwszy obszerny tom wierszy Wordsworth'a to: „Ballady Liryczne”, wydane w r. 1798, od której to daty rozpoczyna się właściwy okres romantyzmu w Anglii. „Ballady Liryczne” zawierały również poemat Coleridge'a, wybitnego poety i przyjaciela Wordsworth'a pt. „Stary marynarz”. Zbiór ten był pełen opisów życia wiejskiego, a więc treści odbiegającej od baletu Schillera, Goethego, a nawet Mickiewicza, choć u tego ostatniego „ludowość” gra skrypty, pozostawiając wyko-

należy się martwić, że na świecie jest grzech i że nie możemy świata uczynić lepszym, gdy się za niego mądlimy, gdy nauczamy, gdy udzielamy sakramentów wszystkim dokonuje się samo...”

Jeżeli takie ma być Credo Marshalla, to trzeba powiedzieć, że jest ono bardzo ponure i pesymistyczne. Co więcej zawiera błędy teologiczne, albo wiem:

1° Według zdania św. Bonawentury, św. Franciszka Salezego i wielu innych wybitnych teologów, Chrystus przyszedł na świat, choćby ani Adam, ani żaden z ludzi nie zgrzeszył. Przyszedł po prostu po to, by związać ziemię z niebem, by wreszcie stworzeniu nadać pełny sens istnienia.

2° Kościół istnieje nie tylko po to, żeby ludzi od grzechu chronić, lecz żeby pielęgnować w nich i rozwijać życie Boże.

Tylko jeden Sakrament ma na celu zgładzenie grzechu (Sakrament Pokuty), wszystkie inne — a jest ich sześć — rozwijają w duszy życie nadprzyrodzone.

3° „Nie należy się martwić. Co za potworne zdanie! To Chrystus się martwił, że na świecie grzechy się szeregają, martwiła się Matka Najświętsza. Ado- solowie i w ogóle cały Kościół, a Marshall nas pociesza, że grzech to nie wielkiego...”

4° „Nie możemy świata uczynić lepszym, gdy się za niego modlimy, gdy nauczamy, gdy udzielamy Sakramentów...” To defetyzm antychrześcijański sprzeczny z całą nauką katolicą i historią Kościoła!

Słowem, poglądy zawarte w cytacie każą nam mieć się na baczności wobec Marshalla — „teologa”.

— „Poezja Wordsworth'a jest dwurodzajowa: opis życia ludzkiego i jego stosunku do Boga i Natury, oraz — wytłumaczenie tego przeżycia, w którym: „leżymy uśpieni cieleśnie i stajemy się żyjącą duszą”, oraz „wglądamy w życie rzeczy” (fragmenty z Opactwa Tintern). „Preludia” zawierają obydwa rodzaje, lecz przeważa drugi. Niezwykłą moc „wglądania w życie rzeczy” czujemy, czytając o tym, jak poeta jako chłopiec wisił na skale ponad gniazdem kruka:

Jakże przedziwnie dźwięczał  
głośny, suchy wiatr  
Wiejąc poprzez me uszy!

Niebo zdawało się nie być  
Niebem ziemskim — i jak nie  
zwykle poruszały się chmury!  
Wordsworth napisał wiele sonetów. Są one zebrane w cyklicznych: „Różne Sonety”, „Sonety poświęcone”, i „Kościelne Sonety”.

Oto sonet opisujący jeden z najpiękniejszych widoków Londynu:

## Widok na Most Westminsterki

Cóż ziemia piękniejszego pokazać nam może?  
Tępa tylko przeszłaby dusza obojętnie  
Obok widoku tak potężnego w swym pięknie:  
To miasto, które teraz nosi w swym ubiorze  
Piękność poranka; milezające i obnażone  
Okręty, wieże, tury, teatry, świątynie,  
Ku niebu i dalekiej otwarte łące  
W bezdymnym powietrzu blaskami otoczone.  
Nigdy słońca tak pięknie nie kapało w blaskach  
Pierwszych poranku — pagórków, skał i doliny;  
Nigdy spokojniejszego nie znalazłem obrazka!  
Rzeka refleksów pełna, mieniących się, płynnych:  
Drogi Boże! Te domy zdają się spać cicho;  
A potężne to serce jest wstrzymane w ruchu!

W Anglii wyszła obecnie cennie nowego wielkiego wydawnictwa pt. „The Poet Wordsworth”, wyd. przez Oxford University Press, Cambridge, napisana przez Helen Darbishire, koleżkę — Ernestowi de Selin- College, Cambridge. Charakterystyczne jest, że autorka nie bawi się w spekulacje filozoficzne i psychologizuje, a przez to najżywsze, najgłębsze drzewo życia i samej Natury, tak że nie przez myśl lub sztukę, lecz wprost, jakby w jednej chwili, przez promień światła, przenikał on szpik życia.

Włodzimierz Bobula



# Zagadnienie rodziny

Przed ostatnią wojną często zwracano uwagę na poważny kryzys, jakiemu ulegała w ramach ówczesnego społeczeństwa instytucja rodziny. Wyrażał się on w zastraszającym wzroście konfliktów między małżonkami, znacznym osłabieniu autorytetu rodziców wobec dzieci, w coraz większej popularności związków pozamałżeńskich itp. Wojna jeszcze znacznie pogłębiła ten kryzys, wielokrotnie doprowadzając do całkowitego rozkładu więzi rodzinnej. Stąd też w latach powojennych społeczeństwa wielu krajów stanęły wobec trudnego zadania odbudowy instytucji rodziny, zapobieżenia występującym w niej tendencjom rozkładowym, zapewnienia jej należytej społecznej ochrony i opieki.

W państwach ludowo-demokratycznych zadanie to wiąże się ściśle z planową przebudową ich ustroju społeczno-gospodarczego na socjalistyczny. Znakomita praca A. Makarenki pt. „Wychowanie w rodzinie” daje obraz tego, jak wielką rolę ma do spełnienia rodzina w społeczeństwie socjalistycznym. W Związku Radzieckim instytucja rodziny traktowana jest jako niezmiernie ważna komórka życia społecznego, na której ciąży odpowiedzialność za sumienne wypełnianie jej zadań wychowawczych.

Szczególnie doniosłe jest znaczenie środowiska rodzinnego w zakresie kształtowania podstawowych zębów organizmu fizycznego i osobowości dziecka. Fr. Uhlir\*) podaje w swej pracy, że do 6-ego roku życia dziecko zyskuje aż 60% wzrostu i 30% wagi przeciętnego człowieka dorosłego, mimo że przeżywa tylko 10% jego wieku (przyjmując jako przeciętną długość życia człowieka 60 lat). Waga mózgu noworodzonego niemowlęcia wynosi przeciętnie 330 g. W pierwszym roku życia waga ta podnosi się na 770 g., w czwartym roku na 1100 g., a już w piątym roku życia niemal nie różni się ona od wagi mózgu człowieka dorosłego. Okres wczesnego dzieciństwa jest najbardziej krytyczny w życiu ludzkim, znacznie bardziej aniżeli okres dojrzewania. Podczas gdy w pierwszym roku waga dziecka wzrasta 1,9 razy, a jego wysokość 0,47 razy, to w okresie dojrzewania waga wzrasta tylko 1,25 razy, a wysokość 0,21 razy. Śmiertelność dzieci do 6-ego roku życia była przed wojną w Czechosłowacji 50 razy większa, aniżeli śmiertelność dzieci w okresie dojrzewania.

Rodzice niestety często nie zdają sobie z tego sprawy, że właśnie do 6-ego roku życia kształtują się u dziecka cechy stanowiące podłoże jego przyszłego charakteru. Cechy te występują przede wszystkim w zakresie stosunku do innych ludzi, do rzeczy i zwierząt, fantazji, świadomości moralnej. Zależnie od ukształtowania środowiska rodzinnego, od ustosunkowania rodziców wobec dzieci, rozwój osobowości dziecka pójść może różnymi drogami.

Wynika stąd bardzo istotna potrzeba planowego, świadomego urabiania wychowawczego dzieci przez środowisko rodzinne, zgodnie z zaleceniami pedagogiki rodzinnej, opartej na naukowych podstawach.

Pedagogika ta jest obecnie dopiero w początkowym stadium swego rozwoju, mimo wielkiej ilości dzieł traktujących problem rodziny. Rozwój jej jest ściśle uzależniony od postępu empirycznych badań środowiska rodzinnego w różnych układach społecznych, mających na celu wykrycie czynników warunkujących wpływy tego środowiska na dziecko, ustalenie zakresu i stopnia natężenia tych wpływów, oraz ich dynamiki.

Praca Fr. Uhlira stanowi przyczynek do dziedziny tych właśnie badań. Sam autor przeprowadzał on w latach trz, dziesiątych (do roku

1938) na terenie t. zw. ziem czechoskich (Czechy, Morawy i Śląsk), posługując się głównie ankietą obejmującą około 52000 dzieci ze szkół ludowych niższego i wyższego stopnia, urzędowymi danymi statystycznymi, oraz dostępną mu literaturą naukową.

Studia obejmowały następujące zagadnienia:

a) Jakie są warunki rozwojowe badanych dzieci w zależności od: przynależności społecznej i wysokości zarobku rodziców, struktury rodziny, warunków mieszkania i spania dziecka, stanu zdrowia dziecka, ew. jego dodatkowych zajęć zarobkowych, odległości domu od szkoły,

b) Jak wpływają powyższe warunki na inteligencję badanych dzieci wyrażającą się w ich postępkach w nauce szkolnej?

Dane zebrane przez Uhlira nie wyczerpują w pełni zagadnienia warunków rozwojowych dziecka, gdyż nie obejmują one tak istotnych czynników życia rodzinnego, jak t. zw. atmosfera rodzinna, stosunki wzajemne między dziećmi i rodzicami, różnice wzorów postępowania rodzinnego charakterystycznych dla rozmaitych środowisk społecznych i in. Ze-

brany materiał jest też dziś już nieco przestarzały, a zbudowany na jego podstawie statystyczny obraz warunków wychowawczych dziecka czechoskiego około lat 1934 — 38 nie daje dostatecznych podstaw do ustalenia prawidłowości dynamicznych zmian badanego zjawiska. Niemniej jednak studia te stanowią cenny wkład w zakresie analizy warunków wychowawczych środowiska rodzinnego, gdyż dostarczyły one wartościowego materiału porównawczego, oraz licznych doświadczeń metodycznych.

W wyniku swych badań Uhlir stwierdził że:

1. W miarę wzrostu poziomu wykształcenia występowała przed wojną w szkołach czechoskich wyraźna selekcja dzieci na niekorzyść warstw biednych, w szczególności zaś biednej ludności wiejskiej. Tak np. przeciętny miesięczny zarobek rodziców dziecka w szkole ludowej niższego stopnia wynosił 802 Kcs, a w szkole wyższego stopnia 888 Kcs. Bardzo ostro zarysowywała się ta selekcja wśród abiturientów szkół średnich, gdyż na 1000 osób czynnych zawodowo warstwa urzędnicza miała aż 128 abiturientów, podczas gdy np.

warstwa robotnicza tylko 4-ech.

2. Bardzo istotny był problem sierot. Przeszło 11% badanych dzieci było sierotami. Spośród rodziców umierało znacznie więcej ojców, aniżeli matek, co miało duży wpływ na zmianę stosunku liczebnego obu płci z 100:105 w 1-ym roku życia na 50:100 w 85-ym roku życia. Niedostateczna opieka nad sierotami powodowała wykoślenie życiowe wielu z nich. Np. w Pradze w 1931 r. stwierdzono, że wśród przytrzymałych młodocianych włóczęgów i prostytutek było 60% sierot.

3. Warunki mieszkaniowe badanych dzieci były niedostateczne, gdyż 70% mieszkań było przeludnione, 30% wilgotne i pozbawione słońca. Przeszło 60% dzieci nie posiadało własnego łóżka, lecz spało razem z kim innym. Niemożność zapewnienia dzieciom dostatecznych warunków spania, wzgl. niedostateczne zwracanie uwagi na to ze strony rodziców, odbijało się bardzo niekorzystnie na zdrowiu dziecka.

4. Wskutek złych warunków bytu i niedostatecznej opieki sanitarnej stan zdrowia dzieci był niezadawalający. Śmiertelność dzieci do lat 14-tu

w latach 1931 — 33 wynosiła 25,5% śmiertelności ogólnej. Spośród badanych dzieci 21% było niezdrowe, 35% straciło już kogoś z rodzeństwa.

5. Zbyt rzadka sieć szkół powodowała nadmierną długość drogi dziecka z domu do szkoły. 5,5% dzieci badanych pracowało zarobkowo. Prze-męczenie daleką drogą do szkoły wzgl. dodatkowym zajęciem zarobkowym powodowało osłabienie energii życiowej dzieci, ich ospałość w czasie lekcji.

W rezultacie swych badań Uhlir stwierdził bardzo wysoki stopień współzależności między warunkami życia rodziny, a postępkami dziecka w nauce.

Omawiane studia jasno wykazują, jak wielkie niedostatki ustroju kapitalistycznego w zakresie wychowania rodzinnego dziecka, stoją do naprawienia przed państwem ludowym. Musimy wziąć przy tym pod uwagę, że ziemie czechoskie nie podlegały poważniejszemu zniszczeniu wojennym, a i przed wojną poziom życia materialnego ich ludności był wyższy niż np. u nas. Stąd też Polska ma w tej dziedzinie jeszcze więcej do nadrobienia aniżeli Czechosłowacja.

A. M.

\*) Ph. Ur. Frantisek Uhlir „Sociologie rodiny s hlediska detskeho vyvoje“ Statni Nakladatelství v Praze 1947, str. 292.

## AKTUALNOŚĆ BALZAKA

Wśród znanych nam t. zw. „numerów specjalnych” poświęconych wielkim ludziom w rocznice ich zgonów lub narodzin — balzakowski numer „Europe” (wyd. przez Zjednoczenie Wydawców Francuskich, lipiec — sierpień 1950) wyróżnia się śmiałością pomysłu i związaniem z tym rzadko osiaganym bogactwem materiału naukowo-publicystycznego. Otóż redaktorzy tego numeru nie ograniczyli się do zainteresowania pisarzy rodzimych, ale celem pełniejszego uczczenia stulecia śmierci Balzaka skierowali apel o współpracę do wszystkich intelektualistów świata. Został on ujęty w formie ankiety zawierającej szereg pytań po to, aby redakcja otrzymała już materiał zhierarchizowany problemowo. Oto treść ankiety:

„Czy uważacie powieści balzakowską za dzieło uzależnione czasowo, należące całkowicie do pewnego momentu historycznego, czy też zachowuje ono dla Was stałą aktualność?”

Innymi słowy: czy czytając dzieło Balzaka czujecie się przeniesieni do epoki, którą przedstawia, czy też sądzicie, że stwarza on charakter i indywidualności spotykane również obecnie.

Czy odczuwacie jego opisy miast, domów, ulic, ruchomości w tym samym stopniu co jego dialogi i bieg intrygi powieściowej?

Czy interesują Was jego poglądy na politykę, religię, administrację, handel w tym samym stopniu co konflikt namietności czy interesów, który ukazuje na scenie swych powieści?”

Druga część ankiety zobowiązywała do odpowiedzi na pytania czy istnieje wpływ Balzaka na własną twórczość danego pisarza i na pisarzy jego kraju, oraz czym się ten wpływ objawia w technicznej lub ideowej strukturze powieści, jak również czy istnieje oddziaływanie powieści balzakowskiej na młodzież.

Dalsza część ankiety skierowana była do instytucji kulturalnych poszczególnych państw zapytując o stan przekładów i rozprowadzania książek Balzaka na rynkach księgarskich danych krajów. Redaktor ankiety Pierre Abraham zaznaczył przy tym, że odpowiedź na ankietę niekoniecznie musi uwzględniać wszystkie punkty, może ona dotyczyć zagadnienia wybranego przez pisarza lub nowego problemu, który autor odpisujący na ankietę uważa za godny poruszenia na łamach pisma.

Z powodu poważnego zróżnicowania politycznego dzisiejszego świata ankieta nie przyniosła rezultatów, jakich należało się spodziewać po tak szeroko zakrojonej akcji. Szereg intelektualistów zignorował we-

zwanie „Europe”, inni, jak np. pisarze Chin Ludowych nie mieli możliwości skontaktowania się z Francją wobec braku przedstawicielstwa francuskiego na terenie ich kraju. Mimo to jednak uzyskany ta droga materiał stanowi niezmiernie cenny przyczynek do badań balzakowskich, a przede wszystkim orientuje doskonale, jakie miejsce zajmuje autor „Komedii Ludzkiej” w świadomości kulturalnej współczesnego świata. Ogółem odpowiedź na ankietę nadesłało 55 pisarzy z 15 państw, a to z ZSRR, Niemiec, Argentyny, Belgii, USA, Francji, Wielkiej Brytanii, Grecji, Węgier, Włoch, Holandii, Polski, Portugalii, Szwajcarii i Czechosłowacji.

Najwięcej pozycji (12) dostarczyła Francja wraz z trzema doskonałymi essayami: Alberta Fourniera „Paryż Balzaka”, Juliette Pary „Dramat twórcy” i Andre Wurmser „Komedia nieludzka”. Następnie wyróżnia się pod względem treści materiał portugalski i radziecki. Z Polski odpowiedziały na ankietę Irena Krzywicka oraz przetłumaczono przedmowę Boy'a - Żeleńskiego do „Kuzynki Biełki”.

Ze wszystkich wypowiedzi najbardziej wstrząsające wrażenie robi artykuł greckiego intelektualisty Melpo Axioti p. t. „Grecki punkt widzenia”, w którym czytamy: „Pismo „Europe” prosi nas o artykuł o Balzaku. Grecja w roku 1950 nie ma intelektualisty, który mógłby go napisać. Nasi intelektualiści są mordowani, torturowani, deportowani, więzieni. Ci najlepsi.”

W tym punkcie problem Balzaka zetknął się z problemem ideologicznych zmagających współczesności. Jak wynika z ankiety, momenty tej zbieżności dzieła balzakowskiego z teraźniejszością są częste.

×  
Ponieważ byłoby niemożliwością zorientowanie Czytelników w treści wszystkich przysyłanych odpowiedzi na ankietę „Europe” — postaram się w najogólniejszych zarysach przedstawić główne punkty widzenia na problem aktualności Balzaka, interesujący nas najbardziej ze wszystkich. W interpretacji przyczyn tej aktualności względnie nieaktualności — pisarze podzieliли się na dwa obozy nawiązujące już to do materializmu marksistowskiego, już to do innych orientacji celem oparcia danego sądu na głębszym podłożu analizy przemian historyczno-kulturalnych, które mogły zaktualizować dzieło Balzaka pozostawiając jedynie jego wartości formalne lub też odwrotnie, uwytklił właśnie horyzontalność jego spojrzenia na społeczeństwo, na kulturę, na człowieka. Wśród tej pozycji nie ma

ani jednej — oświetlającej problem z punktu widzenia katolicyzmu, mimo faktu, że Balzak staje się we Francji pisarzem coraz częściej komentowanym przez katolików.

Prawie wszyscy pisarze, z wyjątkiem zaledwie jednego stwierdzili żywa, twórcza aktualność „Komedii Ludzkiej”.

Oto co pisze André Wurmser (Francja) o Balzaku z klasowego punktu widzenia: „Egoistyczna, niemoralna klasa, która umacniała swoją władzę przed oczyma Balzaka — nie zmieniła się. Aktualność Balzaka polega na identyczności społeczeństwa burżuazyjnego z sobą samym. Samolot, radio i energia atomowa nie w nim nie zmieniły. Pons nie przestaje umierać okradzionym, ani Birotteau nie przestaje bankrutować, ani Nocingen rządzić Francją. I to nie dzieje się wcale dlatego, że te postacie są, jak to się mówi — wiecznymi, dlatego natomiast, że ich społeczeństwo jest jeszcze żyjące i w istocie podobne do siebie tj. do burżuazji. Nieludzkiej burżuazji”.

A pisarz radziecki Konstanty Fedine stwierdza: „To jest dla nas decydujące, że mimo legitymizmu Balzaka, mimo jego demonstracyjnych deklaracji wszelkiego rodzaju „wierności” — krytyka burżuazyjna nie nawidziła jego książek. Kontynuowała swoje ataki po jego śmierci, kontynuuje aż do dzisiaj, aby pomniejszyć i aby zaprzeczyć wielkości geniuszu Balzaka. To jest dla nas ważne, że „Komedia Ludzka” żyje przez wieki dzięki swej prawdziwości, że ta prawdziwość jest dzisiaj przestaniem przeciwko światowi kłamstwa i panowania pieniądza”.

A oto reprezentatywne wypowiedzi intelektualistów z innych orientacji: Słynny filozof Julien Benda (Francja) konkluduje: „Powieści Balzaka zachowują dla mnie stałą aktualność. Jeżeli są problemy naszych czasów których nie poruszył np. problem robotniczy, to wszystkie pozostałe, które ukazał na scenie swego dzieła trwają w ważności i dzisiaj. Ogólnie biorąc podpisuję się pod zdaniem Taine'a, że Balzak jest wraz z Szekspirem i Saint-Simonem największym zbiorem dokumentów o naturze ludzkiej”. Szwajcarski liberał Gibert Trolliet

pisze: „Dzieło Balzaka jest w tym samym stopniu lub w większym nawet tak samo wieczne jak dzieło Dickensa lub Prousta...”

Wypowiedź natomiast belgijskiego pisarza Franza Hellensa zdaje się polemizować z poprzednimi sądami. „Na pierwsze pytanie ankiety o aktualności Balzaka — pisze Hellens — muszę odpowiedzieć przecząco: nie, większość powieści Balzaka nie zachowuje dla mnie żadnej aktualności”. Autor motywuje swoje stanowisko tym, że „Komedia Ludzka” opiera swa wartość nie na ideach, myślach, lecz na postaciach, a te już przeżyły się.

Oto kwintesencja poglądów „opozycjonisty” belgijskiego: „Dzieje się to dlatego, ponieważ Balzak nie zachowuje nam ludzi, a nie człowieka. Ludzi, którzy mijają, a nie człowieka który pozostaje”. „Balzak wizjoner i fantasta („Serafita” „Poszukiwanie absolutu”) — oto według mnie Balzak wieczny.”

Jest to jednak sąd odosobniony. Większość pisarzy stwierdza żywotność realistycznego dzieła Balzaka, umiającego uchwycić istotne cechy przeżywanej rzeczywistości i nadać jej wspaniałą aurę poetycką oraz epokowe znaczenie tego dzieła w historii literatury i kultury europejskiej nie zamykając oczywiście oczu na szereg pojęć balzakowskich stanowiących dziś rekwizyty i nie przemawiających do czytelników.

Zamknąć można ten niekompletny przegląd słowami niemieckiego balzakisty Wolfganga Joho:

„Dzieło Balzaka wznosi się jako gigantyczna skała na długiej drodze literatury powieściowej. Skała z grubsza uformowana, może mało wyczelowana, ale w żadnym wypadku nie pozwalająca się ominąć lub zignorować przez kogokolwiek kogo obchodzi przyszłość losów ludzkości.”

Nie podobna stać się zwierciadłem poetyckim swej epoki bez świadomości, że Balzak dokonał już tego podczas swego życia. Jest to niezbędne i konieczne oprzeć się na tym realizmie w epoce w której surrealizm, egzystencjalizm lub eklektyzm święcą triumfy odzwierciedlając upadek społeczeństwa, które zagubiło sens spistości wzajemnej zależności zjawisk”.

J. Z.

CZYTAJCIE

»S Ł O W O  
POWSZECHNE«



**L** IPIEC 1950 r. W przededniu Święta Odrodzenia wyruszyła w teren grupa literatów Wybrzeża. Towarzystwo Wiedzy Powszechnej w Gdańsku, które nas skierowało do poszczególnych punktów, przydzieliło mi powiat tczewski, a w nim m. in. Spółdzielnię Produkcyjną. Mówiąc dokładniej: Rolniczą Spółdzielnię Wytwórczą „Przyszłość” w Kulicach. Przyjechałem na miejsce pod wieczór, spotkanie wyznaczono na godzinę 20-tą. Na wsi w okresie żniw robota przeciąga się do późna, o czym Towarzystwo Wiedzy Powszechnej na szczęście pamiętało. Ale i tak nie przewidziało wszystkiego. Tego mianowicie, że właśnie o godzinie 20-tej zajadą na podwórzu spółdzielni trzy samochody ciężarowe z cementem,

Włodzimierz WNUK

## TRZY SPOTKANIA

wym pisarzem, po drugie jako prelegent, któremu przyszło mówić do ludzi zmęczonych, spracowanych, na pół może już sennych. Staralem się mówić jak najkrócej, jak najwyraźniej — no i jak najlepiej. Nazajutrz przypadał 22 Lipca, powiedziałem więc parę słów o tym co pisarzowi specjalnie leży na sercu: o dorobku kulturalnym Polski Ludowej. O dwumilionowym nakładzie „Pana Tadeusza”, o 4 milionach dzienników wychodzących u nas każdego dnia, o historycznej akcji zwalczania analfabetyzmu, w której właśnie powiat tczewski wysunął się na pierwsze miejsce w kraju, o tysiącach nowych szkół i kursów dokształcających, o coraz większym dopływie młodzieży robotniczo - chłopskiej na wyższe uczelnie, o spotkaniach pisarzy z czytelnikami itd., itd. A potem przeczytałem krótki reportaż o problematyce społecznej i opowiedziałem na koniec wesołą gawędę góralską.

Ludzie słuchali baczniej niż się tego można było spodziewać. Temu czy owemu kleiły się powieki — godzina 10-ta wieczór! — ale ogół trzymał się dobrze. Nie oczekiwałem dyskusji, ale oto odezwał się Katulski. Zwracając się frontem do gromady rozsiadłej po wszystkich kąciach świetlicy, gdzie popadło, rzekł jej m. in. te słowa: „Mam już 40 lat, ale nie zdarzyło mi się nigdy spotkać pisarza. Dopiero rok temu, jak byłem na wczasach w Krynicy, miałem szczęście być na odczytanie naszego poety, Pasternaka. A dziś, mogę tu razem z wami wysłuchać naszego powieściopisarza...”

Nie jeden z czytelników uśmiechnie się może w tym miejscu. Gdyby jednak znalazł się wówczas w świetlicy kulickiej, słuchałby tych słów ze wzruszeniem.



Sierpień 1950 r. I znowu pojechaliśmy w teren. Tym razem na zaproszenie Towarzystwa Wiedzy Powszechnej w Olsztynie. Rozparcelowano nas po różnych miejscowościach Warmii i Mazur, mnie przypadł w udziale Dobrocin koło Morąga, na pojezierzu Mazurskim. Wyjadłem na stacyjkę kolejową tak drobnej i mizernej, że łatwo było by ją w biegu pociągu przeoczyć. Ścieżka pełną biegnącą opodal bujnego żywopłotu powędrowałem na miejsce przeznaczenia. Już zdaleka witaly mnie osłonięte koronami drzew jasne ściany rozległego dworu, na froncie którego widniał napis: Państwowe Liceum Rolnicze. Budynek — w sam raz była pałaza — huczał młodzieżą. Bo choć uczniowie liceum rozjechali się już dawno na wakacje, zajęli ich ławki inni. W okresie letnim urządzono tu kilkutygodniowy kurs dla junaków SP kształcących się na instruktorów rolnych. Około 100 chłopców i dziewcząt (w tym sporo dorosłych) z całego województwa olsztyńskiego przybyło tutaj aby podciągnąć się w swoich studiach licealnych: młodzież ta bowiem przechodzi u siebie na wsi kursu liceum rolniczego systemem korespondencyjnym!

Spotkanie miało się odbyć za dwie godziny, pozostawało zatem trochę wolnego czasu. Kierownik kursu oprowa-

dził mnie po wspaniałym parku otaczającym szkołę, poczem pokazał mi w jednej ze sal liceum rzecz jedyną w swoim rodzaju. Była to zakurzona fotografia pochodząca z końca 19 wieku, a przedstawiająca taką oto scenę: na tle parku stoi a częściowo siedzi i leży grupa około 40-tu korporantów, z deklamami na głowach i z bandami na pierśiach. Na pierwszym planie psy myśliwskie, obok beczki z piwem, służba nalewa kufle — a czterdziestu dobrze odpassionych i butnych byczków korporanckich wspartych filuternie o siebie wznosi foast... Pod każdym z tych osobników figuruje małeńka cyfra zaopatrzona nazwiskiem w legendzie obrazu. Nazwiska te, poprzedzone różnymi „von, graf, fürst” mówią same za siebie: oto mamy tu zebranych czterdziestu młodych junkrów wschodnio pruskich, samą śmietankę krzyżackich obszarników. Na pierwszym planie stoi przedwojenny właściciel Dobrocin, jeden z największych obszarników w Prusach Wschodnich.

Zostawiłem w spokoju obraz sprzed półwiecza, by zanurzyć się w słonku i zieleni dzisiejszego Dobrocin. Położyłem się na trawie pod drzewami chłonąc w siebie widok jakże cudowny w swej zwyczajności: słoneczna godzina południowa, za chwilę uderzy gong na obiad, na tarasie szkolnego pałacu wygrzewają się chłopcy i dziewczęta, druga grupa gra na środku ogrodu w siatkówkę, z tuby głośnika leżą radosne dźwięki kujawiaka.

Po południu zebraliśmy się wszyscy w najobszerniejszej z sal. Mówiłem naprzód o planie 6-letnim, o tych olbrzymich perspektywach rozwojowych jakie stoją przed nami w najbliższych latach, i znowu położyłem akcent na sprawę kulturalną, z natury rzeczy mi najbliższą. Zeby jednak nie gadać sucho i nudnie, przeczytałem reportaż o tym jak powstał pierwszy w Polsce

wzorcowy Dom Kultury w Nowym Dworze na Żuławach. Rzecz o prostym kolejarzu gdańskim, który wyniesiony na stanowisko burmistrza w N. Dworze, przeobraził tamtejszy zrujnowany teatr pomieński w pałac kultury polskiej. Przeczytałem jeszcze coś innego: fragment z mojej książki o walce młodzieży góralskiej z okupantem niemieckim w czasie ostatniej wojny, o



walce podziemnej na szczytach Tatr. Zakończył zebranie jeden z kursistów, jeden z tych, którzy niedługo otrzymają dyplom instruktora rolnego. Wstał z ławki i dziękując mi w imieniu koleżanek i kolegów zwrócił się do nich z apelem, aby sobie wzięli przykład z owego kolejarza gdańskiego. „Nie każdy z nas będzie w stanie wybudować taki Dom Kultury jak on to zrobił, ale każdy z nas znajdzie na pewno na swoim terenie zaniechaną świetlicę czy też Dom Ludowy, którym trzeba się zająć, które trzeba wyremontować, do porządku doprowadzić, uaktywnić.”

Niedługo potem szedłem z powrotem na dworzec odprowadzony przez junaków SP. Pożegnano mnie okrzykiem „Niech żyje Związek Literatów!”

Wrzesień 1950 r. Otrzymałem skierowanie na wczasy do Łądku Zdroju na Dolnym Śląsku, niedaleko Kudowy i Polanicy. Zdrojowisko pięknie położo-

ne w dolinie otoczonej zewsząd lesistymi wzgórzami. Dla spacerów i wycieczek teren wymarzony. Co krok źródła wody mineralnej, źródła Chrobrego, Danusi, Jadwigi itp., z których pić może każdy dowoli i bezpłatnie. W pierwszorzędnym urządzonym Domu Zdrojowym kąpiele mineralne i kwasowęgłowe, z których korzystają setki wczasowiczów. Zdrojowisko radośnie napiętnowane Domami Wypoczynkowymi Funduszu Wczasów, których jest tutaj ok. pięćdziesiąt. Przy każdej ulicy stoi parę takich domów, a wszystkie one nazywają się od imienia: „Jaś”, „Małgosia”, „Wanda”, „Barburka”, „San”, „Wisła”, „Nysa” itp. W dawnych zyskownych pensjonatach niemieckich, z których korzystali różni bogacze, wypoczywa dziś blisko dwa tysiące polskich robotników i pracowników umysłowych na dwutygodniowych wczasach. Mnie przydzielono do „Ludwika”, do domu poniekąd reprezentacyjnego: przed wojną był on własnością Hohenzollernów, po których zostały jeszcze dwie, „świecne czasy” pamiętające sa. Obecnie „Ludwik” służy naszym pracobnikom pracy, do których widocznie i mnie zaliczono. Pewnie dlatego, że przyjechałem na wczasy aż z trzema „wieczorami”.

Ostatni z tych wieczorów poświęciłem Słowackiemu. Parę dni przed tym byłem w Dusznikach, gdzie koncertował Chopin — i patrząc na dom, w którym Fryderyk grał, pomyślałem sobie o Słowackim. O tym jak stał przelotnie temu spotkać się nareszcie ze swoją ubóstwianą matką we Wrocławiu, o tym jak ścigany przez policję niemiecką uciekał z Wrocławia na zachód zanosząc się od gruźliczego kaszlu. Niechęćże więc teraz, w sto lat po śmierci przyżyje Juliusz na ziemi wrocławskiej swoje — za grobem — zwycięstwo.

W nabitę po brzegi centralnej sali wczasowej, do której weszło więcej niż stu robotników, żywołem prawdy i rzeczywistości runęły na ludzi prorocze słowa poety:

Bije godzina ranna,  
Masy rzekły: „Hosanna!”

Włodzimierz Wnuk

## OPOWIEŚĆ WAZOWA

„Powieść „Niemili i niekochani” ma szczególny urok dla każdego bułgarskiego serca. Wskrzesza przed nami jedną z najwznioślejszych epok naszej historii — epokę walk o odzyskanie niepodległości. Do dzisiejszego dnia nie mamy piękniejszego i prawdziwszego opisu życia rewolucyjnej emigracji w Rumunii. Na tym polega znaczenie powieści, jako dokumentu historycznego, jako zwierciadła epoki” — pisze we wstępie do książki Iwana Wazowa, jego komentator, P. Dinekow.

„Niemili i niekochani” — to grupa tzw. „chyszów”, czyli bułgarskich emigrantów politycznych, których kraj znajdował się od wieków we władaniu sułtana tureckiego. Akcja tej autobiograficznej powieści rozgrywa się w rumuńskim mieście Braiła i w Bukareszcie w latach 1870 — 1871, następnie w Serbii w 1876 r. Wazow, utalentowany poeta i gorący patriota skazuje się sam na wygnanie, czekając wraz z grupą podobnych mu zapaleńców na moment walki o wyzwolenie kraju. Życie tej garstki ludzi — zdeterminowanych rewolucjonistów — było właściwie jednym pasmem nędzy, zawodów

i upokorzeń. Głównym motorem ich egzystencji była myśl o kraju, cierpiącym pod jarzmem tureckiej niewoli. Treścią powieści są powszednie dni okrutnej rzeczywistości emigracyjnej, która stała się udziałem młodego poety Bryczkowa (jest to właśnie autoportret Wazowa), impulsywnego zabijaki Macedońskiego, dalek Mrawki, Władysława i Popczeto.

Utwór Wazowa jest niby dwubarwna materia; poprzez pesymistyczny odcień twardej i nędznej egzystencji emigranckiej prześwieca jasny, optymistyczny kolor bojowości rewolucyjnej. Żądza czynu, która trawi wynędzniałych chyszówpatriotów, znajduje wreszcie swe ujście w wojnie serbsko-tureckiej, gdzie wraz z braćmi — Rosjanami i Czarnogórcami ulegli wprawdzie przeważającym

siłom wroga, ale wykazali bohaterstwo, przypłacając życiem swe bezkompromisowe umiłowanie ideałów wolnościowych. Tragicznym akordem — opisem bitwy pod Gredetynem kończy Wazow swą książkę, poświęconą „biednym synom Bułgarii”.

Spółeczeństwo polskie, które w swej historii ma zapisanych wiele lat niewoli, które zaznało goryczy powstań, ze zrozumieniem i sympatią przyjmie tragiczną opowieść bułgarskiego poety, który — jak czytamy w doskonale opracowanej przedmowie — „opowiada o wspólnej walce Rosjan, Bułgarów i Serbów przeciw uciskowi i pogębieniu — nawiązuje do jednej z największych idei naszej współczesności: — do ilei zbliżenia słowiańskich narodów”.

G. K.

Nowość

Nowość

JANA DOBRACZYŃSKIEGO

opowiadania

NAJWIĘKSZA  
MIŁOŚĆ

ukazały się nakładem Sp. Wyd. „PAX”. Inst. Wyd.

Skład główny: Zdzisław GUSTOWSKI, Poznań,  
św. Marcina 34.

„Veritas”. Warszawa, ul. Wilek 5.

\*) Iwan Wazow — „Niemili i niekochani”. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa 1949. Przekład H. Bychowskiej. Stron 132.



Aleksander KULISIEWICZ

# WARSZAWA W DZISIEJSZEJ POEZJI CZESKIEJ

Nie ma dziś nikogo, kto by uważnie śledził, kolekcjonował i ogłaszał drukami dziesiątki ciekawych wierszy stworzonych co rok „za bratnią miedzą” na temat powojennej Polski. Powtarzam: należy je istotnie „śledzić”, jako że większość z nich nie ukazuje się w dziennikach czy na łamach pism literackich dopóki nie zostaną wydane w jakims obszerniejszym cyklu. Z ponad 150 (!) tego rodzaju utworów czeskich (posiadających, nawiasem mówiąc dużą wartość historyczno-dokumentarną), jakie powstały tutaj po roku 1945, zaledwie 17 znajdujemy w wydaniu książkowym. Sześć z nich wydała Maria Pujmanowa w swoim „Słowiańskim Notatniku” („Slovansky Zapisnik”, Praga, 1948), dwa Jan Pilarz (cykl „Snih”, 1947), dziewięć ogłosił poeta Frantisek Branislav jako cykl „Pozdrav Polsku” („Pozdraviam Polskę”, Melantrich 1950). Na tym koniec. Nie więc dziwnego, iż w przyszłości mogłoby się komuś wydawać, że Czesi w latach 1945 — 1950 niewiele pisali o Polsce.

te, które ukazują tragizm — drugie, które ukazują rozmach i rozkwit naszego miasta.

Omawiając pierwszą grupę utworów warto zwrócić uwagę, że w 1946 roku jako pierwszy pisał o naszej stolicy młody tłumacz i poeta Eryk Sojka (ur. 1922). Wiersz nosił tytuł „Warszawa 1946”. Wtedy Warszawa:

...to więcej niż gruzy — wszędy nic.  
Pomniki na wół rozdarte,  
spoliczkowany, ślepy drapacz  
chmur.

Ulice bez ulic.

Jednak:  
...tu się nie płacze wśród gruzów,  
tu wśród gruzów się wierzy.\*

Również w szkicu wybitnego poety Jana Pilarza (ur. 1917) pt. „Pozdrav” („Pozdrowienie” — 1947) brzmia podobne tony. Wyznaje tutaj poeta, iż wparwodzi „dymią jeszcze ledwo wygasłe pożary, wczorajsza burza wśród ruin zlamana krwawo skrzydła, oślepi dymem ludzie nie spojrzali dotąd na dno własnych oczu” — ale „dzieci uczą je mówić „Pokój”, tak jasno jakby już ist-

skiem Predmesti”). Pierwsze jego zwrotki oddają ponury koloryt niektórych dzielnic Warszawy z lutego 1947 roku:

Gdy po raz pierwszy przed laty  
drapał się z trudem na strzaskane  
na siódmym piętrze brak światła  
i wody,  
tylko obrazy na ścianach,  
przyjaciel i jego żona.

W ciemności oczy błyszczały  
i gwiazdy,  
ceglastym pyłem język  
nieruchomiał.

I nie patrzalem już na obrazy,  
które daremno krzyczały opodal...

Cykl wierszy o zniszczonej Warszawie z bogaciła także znana czytelnikom polskim Maria Pujmanowa w 1947 r. (wraz z oficjalną wycieczką literatów czeskich i słowackich) rzuciła na papier szkic pt. „Warszawskie wdowy” (z cyklu: „Slovansky Zapisnik”), drukowany swego czasu w przekładzie polskim na łamach krakowskiego „DZIENNIKA LITERACKIEGO”. Mówi w nim, że „gwiazdy warszawskie są jak róża w grudniu, którym nic z czerwca nie pozostało. U drogi kadłub wyrasta krzyża i twarze się wokół mieniają tą jedną jedyną twarzą, przy której człowiek przystanie”.

Czwartym z kolei poetą, którego urzekł urok warszawskiej tematyki jest autor „Magnetovej hory” (1937) Frantisek Nechvatal (ur. 1905), przebywający stale w Warszawie jako attaché kulturalny Ambasady CSR. Jego cykl pt. „Tempo” (1949—1950) zaliczyć właściwie wypada do drugiej grupy utworów, obrazujących rozkwit stolicy, niektóre wiersze jednak (jak np. „Zaplava”, „Dilna”, „Živa hviezda”) nie mogą się wyżyć minorowych akordów: przebijają z nich żal, współczucie, ale i wiele serdecznej, szczerzej wiary w lepszą przyszłość Polski, jako kraju Socjalizmu. W utworze pt. „Dilna” („Warsztat” — 1949) Nechvatal uważa Warszawę za „cementarz niezliczonych cieniów”, ale zarazem za „pełen życia i potęgi zaczn przyszlých osiągnąć”.

Warto także wspomnieć o innym oddanym naszym przyjacielu, kiero-wniku literackim Radia Czesko-słowackiego, Frantisku Branislavie. W cyklu „Pozdraviam Polskę” (1950) zamieścił on m. in. dwa misterne (i bodaj najlepsze z wszystkich innych wierszy o Warszawie) wspomnienia: „Warszawa” i „Getto w kamieniach”.

Ciekawą rzecz również stworzył jeden z młodszych poetów czeskich Oldrich Krystofek (ur. 1922) pisząc oryginalny szkic nastrojowy pt. „Warszawa 1948”, nawiązujący m. in. do wydarzeń z 1944 roku.

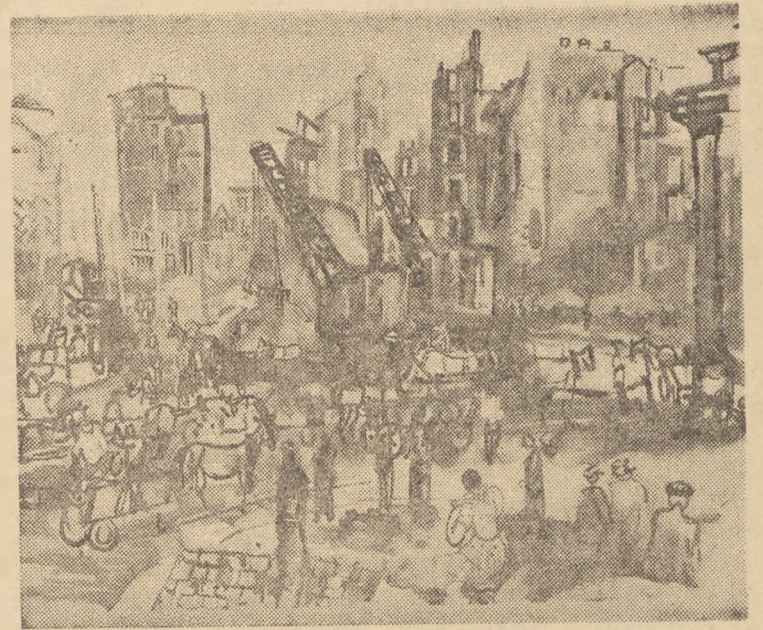
Bardziej jednak interesują nas te utwory czeskie, w których nasi sąsiedzi opowiadają radośnie o twórczej pracy odbudowującej się Warszawę.

Ten sam Eryk Sojka, który w 1946 roku napisał wiersz o „ulicach bez ulic”, o „spoliczkowanym, ślepym drapaczu chmur” — jest w 1949 roku autorem mocnego wiersza pt. „Pofacovana Varsava” („Pobandażowana Warszawa”). W wierszu tym:

W drewnianej wieży winda goni,  
skrzeczy,  
w górę i na dół — jakbyś ranę  
zszynał.  
Murarzy tyle — jak krwi ciałek  
białych.  
Każdy z nich każda cegłę gładzi,  
wita,  
a w rękach jego i glina ożywa...  
Ktoregoś ranka ktoś bandaż od-  
winie. I oto:  
Warszawa  
sto razy zbita smaganiem bomb  
tuli do warg swych splekanych  
nowy,  
biały  
dom.

Znany nam już Jan Pilarz ogłosił na łamach miesięcznika „NOVE POLSKO” (wydaje go w Pradze Biuro Informacji Polskiej) utwór pt. „Warszawa 1950”. To ostatni w ogóle wiersz czeski obrazujący tempo odbudowy stolicy. Przebiega z niego uchwytne optymizm, szacunek i umi-

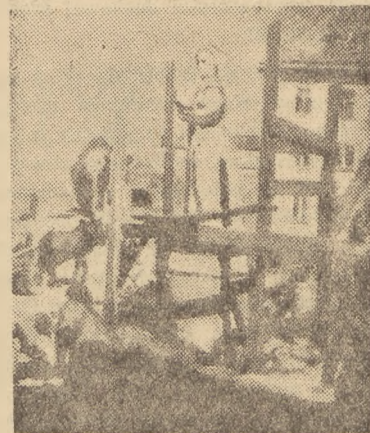
\*) Wszystkie przekłady autora (przyp. Redakcji).



Warszawa 1948: „...wśród gruzów terkoczą żurawie”. Temperowe studium świetnego czeskiego pejzazysty Jaromira Jindry z cyklu „POLSKA ZABLIŻNIA RANY WOJNY” (1948). Obraz nosi tytuł: „Końska szychta”.

...Bednarską szedłem — upalne  
było lato,  
na Mariensztacie, w słońcu,  
zasychał lepki beton,  
brukarze kostki kładli, rzucali,  
podawali,  
z okien różowych dziewczęta  
różowy uśmiech stały...

Najwięcej stosunkowo wierszy o Warszawie kwitnącej i żywej napisał autor cyklu „Tempo” — Frantisek Nechvatal. Cykl (nigdzie dotąd nie publikowany) składa się z następujących 5-strofowych pozycji: „Varsava”, „Zednici” (Murarze), „Dilna” (Warsztat), „Miesto kwie-



A oto Mariensztat 1949 wg. Vilena Kratochvila, który bawił u nas na zaproszenie Ministerstwa Kultury i sztuki.

tu”, „Zaplava” (Potop), „Dech života”, „Mladý delnik hovori” (Rozmowa z młodym robotnikiem), „Živa hviezda”, oraz z wiersza „Tempo”.

W tym miejscu wspomnieć należy także wiersz praskiego poety Jaromira Horca (ur. 1921) pt. „Domovi Slova Polskeho” (1949), jedyny w literaturze czeskiej — i polskiej — poemat na ten temat.

Na koniec wreszcie przedstawić warto Michała Sedlonia (ur. 1919), autora aż 24 wierszy wydanych z Polski podczas pobytu nad Bałtykiem w 1948 roku. W Warszawie Sedlon przebywał zaledwie dzień. Stamtąd pochodzi utwór pt. „Trasa W—Z”. Zaczynają go słowa:

Bądź pozdrowion kraju, gdzie  
poezją pracu  
inżynierów Trasy W—Z,  
a łomot maszyn jak lawina wrąca,  
jak Chopinowski polonez.

W ostatniej strofie Sedlon, podziwając zapał i trud polskiej klasy robotniczej, wypisuje treściwe, pełne dynamizmu zdania:

Wy, którzy przyszłość kilofem  
kujecie,  
dla których beton stygnie,  
stal ognista kipi,  
bądźcie pozdrowieni, prości  
i szczęśliwi —  
warszawscy proletariusze!

Poezja ta niezależnie od jej poziomu artystycznego, który nie zawsze ustala dostateczną troską o prawdę wyrazu i który nie zawsze wiernie oddaje tłumaczenia — jest dowodem zbliżenia i wzajemnego zrozumienia życia słowiańskich krajów demokracji ludowej.



Warszawa tragiczna (1946) w ujęciu znanego malarza czeskiego Jaroslava Paura, odznaczonego za swój cykl orderem „Polonia Restituta” Są to ruiny kościoła św. Floriana w Warszawie.

A jednak tak nie jest. Samych np. wierszy o Warszawie powstało w ostatnich czterech latach ponad sześćdziesiąt. Figurują pod nimi najwybitniejsze bodaj nazwiska dzisiejszej odrodzonej poezji czeskiej jak: Frantisek Nechvatal, Jan Pilarz, Maria Pujmanowa, Frantisek Branislav, Michal Sedlon — z młodszej zaś generacji: Jaromir Horec, Oldrich Krystofek, Eryk Sojka i inni.

Każdy z tych autorów opiewał zarówno tragizm ruin Warszawy, jak i rosnący z dnia na dzień w siłę rozkwit tego miasta. Trudno by było szeregować utwory w porządku chronologicznym; podział taki nie oddałby czytelnikowi istoty zagadnienia. Lepiej ująć więc „warszawskie” wiersze czeskie w dwóch odrębnych grupach: pierwsza z nich obejmuje

niał od początku świata”.

Przepadło, po wszystkie czasy, fa-  
szystowskie zło:  
skowronek wysoko lata,  
człowiek przewraca grude za gruda  
ognistym pługiem.

Poeta widzi  
jak cegiel rdzawa czerwień  
sygnalizuje całemu światu,  
że była, jest i będzie  
Warszawa —  
bliźniaczka Pragi.

Obok „Spotkania w Warszawie” (1947) ogłosił Pilarz w 1949 roku na łamach miesięcznika Svaza Ceskoslovenských Spisovatelů „NOVY ŽIVOT” (nr 1) dziewięciostrofowy wiersz pt. „Krakowski Predmestie” (tytuł oryginału: „Na Krakov-

WYSZŁA Z DRUKU  
KSIĄŻKA DO NABOŻEŃSTWA  
DLA DZIECI

JEZUS MALUSIENKI

str. 267

zł 350

NAKŁADEM

S.P. WYD. »PAX«, INST. WYD.

W - W A M O K O T O W S K A 43

SKŁAD GŁ. VERITAS, WIDOK 5, W-WA

CZYTELNIKOM, NASZEGO PISMA

WYSYŁAMY PO WPLACIE

NA KONTO P.K.O. 1-8515



Andrzej ODNOWA

# SZTUKA O ANGLOSASACH

## „Uczeń diabła” Shawa na scenie gdańskiej

Co stanowi o trwałej wartości tej niezwykłej sztuki, jaką jest „Uczeń diabła”? Poza ściśle dramatycznymi jej zaletami, niewątpliwie — mistrzowska analiza psychiki anglosaskiej. Z przeobrażenia jej odmętami powstała zapewne sztuka Shawa. Oglądamy w niej purytańskie środowisko amerykańskie z końca XVIII w. oraz królewsko-brytyjskich najeźdźców, tłumiących powstanie „zbuntowanej” kolonii. Shaw ukazuje swych współplemieńców, jednych i drugich, bez maski, w całej potworności ich obłudy i okrucieństwa. Zjadliwi, szatański uśmiech tytułowego bohatera jest satyrycznym śmiechem samego Shawa. Brzmi on od przeszło pół wieku na scenie całego świata, lecz dziś wypadki dziejowe nadają mu bodaj pełniejszy jeszcze rezonans.

Shaw dociera do najistotniejszych, religijnej natury, skrzywień psychiki anglosaskiej. Zdobywcze dążności kolonizatorów i kapitałowy przemysł skrzyżowały się w niej z osobliwie wypracowaną religijnością protestancką. Obok anglikanizmu i kto wie czy nie więcej od niego wywieral na umysłowość angielską wpływ ducha Kalwina, przejawiony w purytanizmie. Dorabiał on motywację dla materialnych kapitałistycznych dążeń „panów świata”. W innej swej sztuce, w „Mężu przeznaczonym” Shaw w następujący przenikliwy sposób charakteryzuje kolonizatorów i kapitalistów angielskich.

Jeśli Anglik czegoś chce, nie przystępuje nigdy, że tego chce. Czekając cierpliwie do czasu, aż zbudzi się w nim — Bóg jeden wie w jaki sposób — głębokie przekonanie, że jest jego moralnym obowiązkiem i religijną powinnością podbić tych, którzy posiadają to, czego on pożąda. A wtedy dąży już otwarcie i konsekwentnie do celu. Jak arystokrata — czyni wszystko co mu się podoba i przywłaszcza sobie wszystko, czego zapragnie. Jak kupiec — zdąża do celu ze skrupulatnością i wytrwałością, która wypływa z mocnego przeświadczenia religijnego i głębokiego zmysłu moralnej odpowiedzialności. I nigdy nie jest w kłopotach, kiedy chodzi o gest moralny. Jako wielki szermierz wolności i niepodległości ludów podbijają połowę świata i nazywa to „kolonizacją”. Gdy potrzebuje nowego rynku zbytu dla swych zleżających towarów manchesterowskich — wysyła misjonarzy, którzy mają zwiastować dzikim ewangeliją pokoju. Dżicy oczywiście zabijają misjonarza. A wtedy Anglik chwytając za broń, walczy za wiarę — zwycięża — a jako „nagrode boską” bierze w posiadanie rynek zbytu... Nigdy nie można Anglikowi dowiedzieć, że nie ma słuszności, gdy wszystko co czyni wypływa z zasad; prowadzi wojnę z zasad patriotycznych, oszukuje z zasad kupieckich, ujarzma wolne narody z zasad imperialistycznych”.

W „Uczniu diabła” prawdę o psychologii anglosaskiej ilustruje Shaw na środowisku miasteczka amerykańskiego, które opanowują wojska królewskie.

Widz staje się najpierw świadkiem klasycznej już sceny z testamentem. W obliczu śmierci głowy domu rodzina purytańska, po zbiorowym świątobliwym westchnieniu, rzuca się do słoju, aby dokonać podziału dóbr materialnych. Ci „posiadacze”, posiadacze w sensie nie tylko ekonomicznym, ale i moralnym, żyją karnie, surowo, są skąpi i nie rozkwijają się, ale życie takie daje im religijne poczucie wywyższenia, uzasadnia podział na dobrych i złych, wybranych i potępionych. Wypaczona religijność poręcza im pomyślność doczesną, i odwrotnie, dobrobyt materialny staje się sprawdzianem bogomyślności.

Nic dziwnego, że zaci ci ludzie nie są przygotowani na niespodziankę, jaką zza grobu sprawia im nieboszczyk swym testamentem. Przy czytaniu jego ostatniej woli, żona i bracia zmarłego

ustawicznie podrywają się, jakby dla odbioru spodziewanych dóbr doczesnych, lecz zmarły oddał je starszemu... (złemu) synowi, a nie (dobrym) braciom. Reżyseria Damięckiego w Gdyni znakomicie podkreśliła sytuacyjny komizm tej świetnej sceny — rozczarowania posładczy.

Niejako wcieleniem moralności purytańskiej jest w sztuce Shawa postać pani Dudgeon. Głęboko zakorzeniona obłuda, żądza posiadania i władzy, poczucie wyższości, a przy tym wszystkim twardość serca doszły tu do ostatecznych granic. Mlejszcowy pastor zgorszył panią Dudgeon i stracił na nią wpływ, odkąd usłuchał serca i ożenił się... z miłości. Najostrzej odgradza się ona od „grzesznych”; biednej sierocie, „nieregularnemu” dziecku szwagra — przemysłowca, nie przestaje wypominać jego pochodzenia; syna zaś, któremu przypadł spadek po ołcu, ściga kłębą do grobowej deski. „Całe szczęście — zauważa Ryszard — bo nie wiem, jak mógłbym żyć bodaj krótką chwilę z jej błogosławieństwem”.

Z przeciwstawienia się ludziom tego pokroju ze środowiska purytańskiego zrodziła się niewątpliwie koncepcja tytułowej postaci „Ucznia Diabła”. Jeśli purytanizm hoduje takie okazy ludzkie jak „dobry Dudgeonowie, jeśli tak nie-ludzko pojmowana moralność patronuje „domowi dziecięcych lat”, Ryszard Dudgeon, wyrodny syn swej matki i swego rodu, woli przyznać się do szatana i ogłosić odziedziczony przez siebie dom, do którego wprowadza się z sierotą — domem Diabła. Deklaracja jakże wymowna dla rzeczywistości duchowej świata anglosaskiego!

Postać „Ucznia Diabła” łączy w sobie typ wielkiego samotnika romantycznego skłóconego ze światem z typem demaskatora społecznego nowszej ery. Jest to potencjalny rewolucjonista. Uosabia on świat ludzi nieuznanych, wykluczonych ze społeczeństwa „posiadaczy”, pokrzywdzonych przez los i drobnomieszczańską rodzinę. Czujemy, że byłby on w stanie skupić tych, których los gnębi i podjąć wraz z nimi walkę o nowy, wolny świat. Wierzymy w patriotyzm Ryszarda, zaświadczony osobistym poświęceniem, podczas gdy patriotyzm tamtych jest tylko rozszerzonym egoizmem, a naród dla nich tylko wielkim wspólnym przedsięwzięciem. Z drugiej strony, również oficerowie angielscy, kiedy wieszają, mordują, tłumią powstanie, mają na ustach słowa o woli boskiej i tylko wyjątkowo cyniczny spośród nich wie, o co na prawdę chodzi, że „bez zdobyczy terytorialnych nie można mieć rodowej arystokracji”.

Niezwykłą postacią „Ucznia Diabła” i całą sztuką przekreślił Shaw już w końcu ubiegłego stulecia wszelkie choćby i „ideowo” podbudowane teorie o wybraństwie jednostek czy zbiorowisk ludzkich. Cała sztuka jest dramatycznie skonstruowaną rozprawą z kalwińską predestynacją, z swoistym arystokratyzmem podziału z góry na dobrych i złych. Wyklęty przez swoich jako jednostka, jako „czarci syn” i skazany przez najeźdźców jako przedstawiciel zbuntowanego społeczeństwa kolonii, w godzinie próby, Ryszard Dudgeon wznosi się na szczyt bohaterstwa jednostkowego i narodowego. Odnosi duchowe zwycięstwo nad wybranymi nadludźmi: zarówno nad prezbiteriańskim pastorem i jego żoną, których zwycięża w najszlachetniejszej rywalizacji, jak i nad brytyjskimi arystokratami, wrogami swego ludu, którym na chwilę przed egzekucją rzuca w twarz prawdę o

wszelkim imperializmie: „Generale, czas ucieka, a Ameryka śpieszy się do własnego życia... Można... zajmować miasta, lecz nie można zdobyć i pokonać narodu...”

W tym tkwi demokratyczno - postępowo, antyfaszystowska (avant la lettre!) tendencja sztuki Shawa. Sztuka ta stanowi zarazem cenną korekturę wykrzywień myśli chrześcijańskiej, wykrzywień spowodowanych przez wpływy kapitalizmu, zwłaszcza w wydaniu anglosaskim.

Zgłoszony z tego miejsca dezyderat w sprawie reżyserii w teatrach Wybrzeża został urzeczywistniony wcześniej aniżeli można było tego oczekiwać. Do grona reżyserów dojdzie wkrótce w Gdańsku — Gdyni T. Biegański, a luźną współpracę z „Wybrzeżem” zapoczątkował już reżyserią i gościnnymi występami w „Uczniu Diabła” — D. Damięcki. Z zupełnie nieprzejętym wynikiem. Premiera Shawa na scenie gdańskiej jest chyba najlepszą premierą za dyrekcji Kwaskowskiego na Wybrzeżu. Damięcki wypracował przedstawienie niemal całkowicie wyrównane. Mimo zestawienia z aktorami tej miary, co sam reżyser (rola tytułowa) i Irena Górka (Pastorowa), reszta zespołu zagrała przekonująco, zarówno w ujęciu indywidualnym jak i zbiorowym.

Roman KOŁONIECKI

# Klejnoty i rupiecie

## (notatki z raptularza teatralno-literackiego)

FREDRO U SZCZYTU

„Pana Beneta” i „Dożywocie” umieszczano nieraz w ramach jednego wieczoru teatralnego, co stawało widać w obliczu znamienitych kontrastów, świadczących o niebywale szerokiej rozpiętości komediowego talentu Fredry. Jednoaktowa „Saga rodu Benetów” — to pogodna pseudo-tytułowa, w której widmo zawitych konfliktów okazuje się niezrozumiałym straszakiem, przezabawną iluzją. Jeszcze silniej podkreślająca niby sielankowy nastrój i dobroduszny, prawie rżawy humor komedii. Natomiast „Dożywocie” — przenikliwe i do potęgi symbolu podniesione studium psychologiczne, w drapieżne kontury ujęta mitologia skapstwa, dyszy ogniem obnażonych namiętności silniejszych od człowieka. Jeżeli śmiertelna walka Łatki o dożywocie nie kończy się katastrofą, jeżeli burza targająca słabym ciałem i sercem skapca, rozkwita na koniec teatru — to tylko do wód, jak tegim architektem sceny był Fredro. W gruncie rzeczy i burza w szklance wody starego Beneta i prawdziwe cierpienie zaprzędanego demonem lichwiarza jednakowo są podszty dramatem, posiadają równe napięcie uczuciowe.

Błogie nienieróbstwo Beneta, pieczołowicie hodowany przez niego ideał spokojnego życia wyraża przecież także namiętność, która swoją ofiarę trzyma w ostrych szponach. Nieposzlakowane tradycje rodu, naplanie papugi w klatce i szlafrokopantoflowa codzienność mieszczańskiego domu stanowią tylko złudzenie życia, które jest właściwie — dla Beneta — ustawiczna trwoga o spokój, wyrażająca choć bierna na pozór walka o to, by się nie nowego nie stało, by się nie dokoła nie działo, by przez żadne drzwi nie wkroczyło do jego mieszkania niespodziane zdarzenie. Aż dziwne, że zegary tu chodzą, że służba zmienia firanki w oknach, okurza poprzykrywane pokrowcami meble.

Niema namiętność Beneta, mająca na imię: głód spokoju czyni z niego kościaną kukiełkę, steżącą w ciągłym niepokoju i napięciu. Czymże są wo-

Z trzech partyj, jakie wyróżnić można w tej mało jednolitej sztuce: 1) satyra na środowisko mieszczańskie Ameryki, 2) dramat moralny na proscenium, 3) satyra na Anglików — najlepiej wypadła pierwsza.

Z monochroniczną, surową dekoracją Feliksa Krassowskiego pięknie zgrane zostały kostiumy i charakterystyka. Pozwoliło to sugestywnie oddać lokalny koloryt purytańskiego środowiska. Sylwetki M. Janowskiego (Hawkins), T. Gniazdowskiego (Krzysztof), O. Riamskiego (William) były szczególnie uciészne. Reżyser, prócz wielu innych trafnych pomysłów i subtelnych ujęć, prócz doskonałego wypunktowania sytuacji (np. moment moralnego rewanżu Ryszard — Pastor), starannie też ugrupował postacie na scenie, wyraźnie przeciwstawiając sobie walczące obozy.

Dobrą kreację stworzyła Halna Sokolowska w roli pani Dudgeon. Masce brylowatej, ciosanej, zaciętej odpowiednia tym razem dostateczna twardość głosu, ledwie tu i ówdzie wdzierają się tony deklamacyjno - patetyczne ze szkoły Wysokiej. Potwornej purytanicy umiała jednak Sokolowska przydać też akcenty bardziej ludzkie: coś niemal ciepłego, gdy odsłoniła swą miłość sprzed lat, której się wyrzekła, a moment zawahania i walki wewnętrznej

przed kłębą, czyni jakby krok ku synowi. Również Doblesław Damięcki w swej znanej w całej Polsce brawurowej roli „Ucznia Diabła” podkreśla moment tak ludzki jak lęk przed samotnością, przebijający przez zuchwałość w chwili opuszczenia domu przez wszystkich, podobnie jak lęk przed śmiercią w scenie przed egzekucją.

Zastrzeżenia można było mieć w stosunku do pierwszej odsłony na proscenium. Reżyser pragnął zapewne odpateryzować, unaturalnie scenę późniejszej bohaterkiej decyzji Ryszarda, niepotrzebnie jednak wprowadził rubaszne gierki przy stole w duecie Ryszard — Pastorowa. W połączeniu z pewną rubasznością Pastora w tej odsłonie oraz przenikaniem do roli Judyty I. Górskiej tonów z jej niezdrównanej „Zabusi”, zamąciło to trochę czystość obrazu.

Irena Górka dała poza tym pokaz pięknej gry o szerokiej skali, a partnerował jej — obok Damięckiego — z nadzwyczajną dyskrecją i umiarem Tadeusz Nowak jako Pastor. W obrazach końcowych interesującą, błyskotliwą postacią gen. Bourgoyne stworzył Stanisław Małatyński, zarazem asystent reżysera. E. Drozdowska z dużą ekspresją mimiczną grała rolę Esterki, ukazując postać dzweczela, traktowanego przez otoczenie jak jawnogrzesznika, a czującego się w nim jak ścigana zwierzyna.

„Uczeń Diabła”, doskonała pozycja repertuarowa, stał się zarazem próbą tego, co może dać ze siebie zespół aktorski pod kierunkiem wybitnego reżysera.

Andrzej Odnowa

staje zagrażać losom Birbanckiego i Orgonówny. Wielkie jest mistrzostwo Fredry, skoro ten mit o skapcu potrafił utrzymać w korbach nienaruszonego stylu komediowego.

ZAPOLSKA - KASSANDRA

Tytułowa postać „Zabusi” Zapolskiej jest bez wątpienia arcydziełem charakterologii; jak pewne gatunki papug czy żółwi, ta Żabusia żyć może jeszcze całe dziesięciolecie nie przestając być typem aktualnym. Ale sztuka Zapolskiej posiada również szersze podłoże moralne i społeczne, stanowi — jak zwykło się mawiać — wiarygodny dokument swej epoki i środowiska. Pod tym względem jej aktualność jest ściśle ograniczona; dowiodło tego ostatnio wznawienie „Zabusi” w Teatrze Rozmaitości.

Wygodnictwo moralne Żabusi i jej ojca jest wytworem oportunistów, właściwego etyce drobnomieszczańskiej, kształtowanej przez kilka pokoleń. Na tej właśnie etyce zbudowany został gmach demokracji liberalnej. Wszelkie imperatywy obowiązują tu tylko we wzajemnych stosunkach ludzkich; gdy zaś człowiek zostaje sam na sam ze sobą, absolutnie nie go nie wiąże. Tylko wtedy czyn jakiś może być uznany za niemoralny, jeśli go popełniono przy świadkach; teraz już łatwo zrozumieć, jak wielką rolę w podobnych warunkach odgrywała plotka — prymitywna preforma opinii publicznej, usankcjonowany organ życia społecznego.

Tej legalnej niemal instytucji samoobrona jednostek przeciwstawiła inną, równie potężną jak tamta: hipokryzję jako system praktyczny. Bunt Marii Bartnickiej, burzycielki świata hipokryzji — to jakby znamie jej deklaratowania i zarazem siły wewnętrznej; ona jedna potrafi cierpieć — wszyscy inni są na to zbyt słabi, atrakcyjni i dlatego schyłkowi. Jak widzimy, i w tej komedii Zapolska była Kassandra zesłowieczonej Troi mieszczańskiej — a Troja ta była podówczas cała Europa.



## ŻYCIE KATOLICKIE

WIELKIE ŚWIĘTO  
KOŚCIOŁA W ANGLII

Anthony Foster: Madonna (Ashley Gallery)

29 września b. r. przypadła setna rocznica restauracji Hierarchii katolickiej w Anglii i Walii. Prymas Anglii Kardynał Bernard W. Griffin, Arcybiskup Westminsteru, został mianowany Legatem Papieskim na uroczystości związane z obchodem tej rocznicy. Uroczystości rozpoczęły się Mszą wotywną

odprawioną dnia 28 września o godz. 11 w katedrze Westminsterskiej. W niedzielę dnia 1 października Legat Papieski odprawił uroczystą sumę w Katedrze Westminsterskiej.

W r. 1850 kiedy papież Pius IX przywrócił Hierarchię katolicką w Anglii, panował tam duch nietolerancyjnego protestantyzmu i nacjonalizmu. Anglikanizm był religią panującą, a pozycja kościoła anglikańskiego w społeczeństwie była bardzo mocna. Wprawdzie nie przez strzegano już antykatolickich ustaw z czasów Reformacji, zasadniczo jednak z pewnymi zmianami były one jeszcze obowiązujące. Portrety papieża, kardynała Wisemana i biskupów katolickich były publicznie palone. Królowa Wiktorja otrzymywała liczne zapewnienia swoich poddanych o ich wierności i lojalności dla protestantyzmu. Konwersja Newmana wywołała ogromne oburzenie i niepokój wśród intelektualistów anglikańskich. Toteż restauracja Hierarchii i powrót Kościoła Katolickiego jako żywej siły uważane było przez wielu za wystąpienie przeciw duchowi czasu.

Jeszcze w pierwszej połowie XIX w. zarówno Kościół Katolicki jak i poszczególne jednostki otoczone były ogólną wrogością. Później wybitniejsze jed-

nostki, jak np. kardynałowie Manning i Newman, wyrabiały sobie pozycję w społeczeństwie a nawet uznanie dla swoich zalet osobistych. Ale jeszcze dzisiaj źle wygląda sytuacja katolików w niektórych częściach Walii. Warto również pamiętać, że wszystkie najpiękniejsze średniowieczne świątynie katolickie znajdują się w rękach anglikanów.

W okresie między rokiem 1850 a 1900 angielskie społeczeństwo katolickie charakteryzowała prawie całkowita bierność. Nie przejawiała ono dążenia do żadnej szerszej działalności poza wypełnianiem ściśle religijnych obowiązków. Znaczenie prasy było przez katolików wyraźnie niedoceniane. W tym okresie dużego dobrobytu wśród warstw posiadających pisma katolickie walczyły z niestannymi trudnościami finansowymi. Ta bierność jest jeszcze bardziej uderzająca gdy badamy historię organizacji katolickich. Skupiając w swoich szeregach stosunkowo małą liczbę członków i dysponując bardzo skromnymi dochodami, nie były one w stanie wypełniać skutecznie tych zadań, dla których zostały utworzone. Do chwili wybuchu sporu o szkolnictwo w pierwszych latach bieżącego stulecia, kiedy powstała Catholic Union, nie było wia-

świecie w Anglii żadnej świeckiej organizacji katolickiej o szerszym zasięgu.

Podobnie wyglądała sytuacja w dziedzinie twórczej myśli katolickiej. Katolicy angielscy nie interesowali się osiągnięciami intelektualnymi swoich współczesników w innych krajach. Zasklepili się w swoich wewnętrznych problemach. Stała dechrystianizacja społeczeństwa angielskiego i liberalistyczne tendencje w kościele anglikańskim wpłynęły na znaczne zubożenie wobec różnic doktrynalnych. Katolicy, którzy stali się religijną mniejszością w laickiej cywilizacji, wciąż jeszcze tkwili w dawnych sporach z protestantami. Apologetyka katolicka w dalszym ciągu zajmowała się tylko odpiernianiem zarzutów „mariolatry”, kultu obrazów, czy obroną stanowiska papieża jako głowy Kościoła. Tym się też tłumaczy np fakt, że H. G. Wells zetknął się z katolicką interpretacją historii dopiero, gdy Hilaire Belloc i G. K. Chesterton napisali odpowiedzi na jego „Outline of History”. Polityka Kardynała Manninga polegała na zasklepieniu społeczności katolickiej we własnych problemach, co dało jak najfatalniejsze rezultaty. Dopiero dyskusje między Wellem a Bellocem, pisarstwo Chestertona — wyprowadziły twórczość katolików angielskich na szersze wody.

Obecnie, gdy Kościół Anglikański znajduje się w coraz głębszym rozkładzie ideowym, gdy jego kierownicy kwestionują najbardziej podstawowe dogmaty chrześcijaństwa, katolicy rozwijają coraz żywszą działalność religijną starając się przeciwstawić wzrastającej dechrystianizacji. Wystarczy wymienić te kilka nazwisk znakomych pisarzy katolickich, którzy dziś są znani na całym świecie, jak Graham Greene, Evelyn Waugh, Bruce Marshall, Christopher Dawson i inni.

## LIST DO REDAKCJI

## SPÓŹNIONA ODPOWIEDŹ

P. Kordyasz zajął się poważnie moim „niepoważnym”, jak go nazywa, artykułem krytycznym o tomizmie. Charakter jednak powagi jego artykułu nie jest, niestety, tomistyczny, więcej w nim bowiem przmiotników, niż rzeczowników, więcej tak potępianej przez tomistów pasji i sentymentu, niż rozsądku, choć i tego trochę jest. Pominę ustępy namiętne, jako niefilozoficzne, pominę retorykę i literaturę, do której zapewne zaliczyć należy mocne epitety, jako mało rzeczowe, a więc pozbawione siły dowodowej i rozpatrzyć argumenty.

Przeciwnik mój jest tomista, bo lubi „pełne i porządne myślenie”. Ten взгляд nie przemawia do mnie. Na ogół to, co ja lubię, ma niewielki wpływ na moje poglądy filozoficzne. Mogę nawet powiedzieć, że jako filozof nie znoszę rzeczy, które lubię, bo mącą one obiektywność sądu. Również nie przemawia do mnie взгляд na porządek. Jest to własność raczej estetyczna, niż rzeczowa. Porządek oznacza pewien ład. Istotnie, tomizm jest najwzrowiej ułożonym systemem twierdzeń i posiada dużą wartość artystyczną. Ale to dla mnie za mało. Porządne myślenie może być pociągające twórczością myśli. Mnie jednak chodzi w filozofii o prawdziwą istotę, naturę i porządek rzeczy w świecie. Jeśli w tomizmie nie znajduję zgodności z obiektywizmem, znanym mi porządkiem rzeczy, to mam wszelką swobodę nie przyjąć tego poglądu i powiedzieć, dlaczego go nie przyjmuję!

Zarzut ignorancji tomizmu jest słuszny wobec mnie. Nie czytałem Summy, ani tysięcy dzieł, jakie napisali tomisci. Czytałem trochę, nie tylko „ABC tomizmu”. Znaczenie więcej o tomizmie znalazłem np. w historii filozofii ks. Klimkego. I to mi wystarczyło. Zanim się kupi materiał, bierze się przedtem próbki. Kosztuje jedzenie, nim zjem całą porcję. Gdy mi się jakieś towarzystwo nie podoba, to wycofuję się z niego zaraz na wstępie i nikt mi z tego powodu nie robi zarzutu igno-

rancji. Kilka zdań z książki wystarczy mi, żeby ją odrzucić bez czytania i powiedzieć, dlaczego ją odrzuciłem. Czemuż tomizm ma być wyjątkiem od takiego postępowania? Znam jego zasady, znam twierdzenia, znam ostatecznie wnioski, na cóż mi jeszcze czytać szczegóły, o których jestem przekonany, że będą równie fałszywe, jak ich wyjściowe zasady? Powołałem się na artykuł O. Bocheńskiego i usłyszałem, że to mało. Gdybym przytoczył coś z Summy, p. Kordyasz powiedziałby, że właśnie tego zdania tomisci się wyrzekli. Przytoczyłbym jakiegoś tomistę, p. Kordyasz mógłby mi powiedzieć, że ów tomista nie jest miarodajną powagą tomistyczną. Jest on dość biegły, by wynaleźć setki wykrętów, byle rzucić zarzut ignorancji i w ten sposób od razu zdyskredytować osobę przeciwnika, osobę, nie jego zarzuty, które potem można już pominąć, jako pochodzące od osoby niepoważnej. Nie jest to metoda tomistyczna, p. Kordyasz! św. Tomasz poważnie traktował każdego rzeczywistego ignoranta i wyczerpująco odpowiadał na jego wszystkie, często naiwne pytania.

Mnie nie chodzi o wykręty, ani o szczegóły, ani o osoby. Mnie chodzi o same zasady tomizmu, o jego myśli przewodnie, o twierdzenia ostateczne. I z tych zainteresowań nie dam się zbić złośliwymi dowcipami retoryki p. Kordyasa.

Przypuszczam, że posiada on rozległą wiedzę tomistyczną. Tym dziwniejsze mi się wydaje, że nie umożliwiła mu ona drugoczej odpowiedzi rzeczowej na moje luźne i nieparte poważniejszą analizą uwagi. Z trzech głównych zarzutów, zajął się tylko jednym, najbardziej dla mnie zasadniczym, mianowicie pominął przez tomizm Objawienia. Powiedział to, co wszyscy tomisci od dawna powiedzieli i co w ogóle da się powiedzieć. Mianowicie, że Objawienie — w przeciwieństwie do faktu doświadczenia — przyjmuje się na wiarę. Nie jest to dla mnie różnica istotna. Poznanie doświadczenia też

opiera się na wierze, szanowny Filozofie. Zmysłem też trzeba wierzyć. Tak np. widzę, co Kordyasz napisał przeciw mnie, a jednak trudno mi *uwierzyć*, żeby tak rozsądny zazwyczaj człowiek napisał takie głupstwa. Wszelkie nasze poznanie opiera się na wierze. „Nauka historii”, nauka biologii, astronomii, wszystko to opiera się na wierze profesorom i dokumentom. A czy naprawdę tomizm twierdzi, że katolik nie ma żadnego doświadczenia religijnego, jak nas poucza p. Kordyasz? Jest to oczywiście fałszem. Każdy doświadcza realnie skuteczności sakramentów, ofiary Mszy św. Po spowiedzi człowiek czuje podobną ulgę, jak po umyciu się, a po Komunii czuje się mocniejszy, niż po jedzeniu.

Tak, twierdząc w dalszym ciągu, że filozofia katolicka powinna wziąć pod uwagę właśnie i przede wszystkim naukę swojej wiary i jej praktykę, a nie ogólniki Arystotelesa. I to właśnie podoba mi się u św. Augustyna. Jego zasadnicze podejście katolickie, nie biorąc pod uwagę filozofów pogańskich, tylko naukę wiary. Bo jest to rzeczywista nauka i może służyć do budowania poglądu na świat. Ponieważ ze św. Augustyna wzięłem tylko to jego ogólne nastawienie, zatem słuszne uwagi Kordyasa co do mojej nieznamomości tego filozofa są nie na miejscu.

Tomisci przyznają teologii katolickiej rolę kontroli negatywnej. Dlaczego tylko negatywnej? Czemu nie i pozytywnej? Chyba dlatego, że w takim wypadku Arystoteles musiałby w ogóle się wyrzucić z tomizmu. Połowiczność tę uważam za typową dla tomizmu.

Wywody moje o abstrakcyjności tomizmu, o nieproporcjonalności i przesadnie, a więc niedopuszczalnie wybujałej spekulacji abstrakcyjnej, wiodącej do idealizmu, p. Kordyasz zbył krótkim słowem: „banialuki”. Inaczej widocznie nie mógł. Było by dobrze tak argumentować w filozofii!

Nie propagowałem ani woluntary-

zmu, ani sentymentalizmu. W ogóle niczego w filozofii nie propaguję, tylko roztrząsam obiektywnie. Kto odrzuca uczucie, ten ogranicza filozofię i sam się staje ograniczonym filozofem. Skoro tomisci, jak mówi p. Kordyasz, uznają podstawową, decydującą rolę woli, to bardzo mi przyjemnie to słyszeć. Ja też tak twierdze. Zgoda, choć w jednym punkcie! Co zaś do św. Augustyna, to mówił on różnie o woli. Ze jednak wolę pozostać w charakterze ignoranta, pozostawiam całą erudycję na pociechę p. Kordyaszowi. Powtarzam, nie chodzi mi o wykręty, szczegóły, czy osoby, tylko o same główne zasady i przy nich pozostanę.

Nie mogę jednak pominąć sztyrdystwa z serca, na jakie sobie pozwalał mój zacięty tomista. Według nauki katolickiej, Bóg żąda od ludzi miłości. Chrystus daje nam swoje Serce i żąda od nas czci dla Niego. Niech więc p. Kordyasz zostawi serce w spokoju, a pozostanie przy swych bezwzględnych prawdach matematycznych, że: kolo jest okrągłe, a część jest większa od całości; wielce zbawienna prawda, której zaprzeczenie wywołałoby katastrofę społeczne!

Na tym bym skończył. Ale uderzyła mnie w post scriptum uwaga, że p. Kordyasz ma inne od św. Tomasza poglądy teologiczne i że to mu nie przeszkadza być tomistą, gdyż „w ramach jednego systemu filozoficznego jest miejsce na różne rozwiązania poszczególnych zagadnień”. A to ładna bezwzględność. P. Kordyasz posadzi kartofle, a może z nich zebrać pomidory, ogórki i słoneczniki. Posadzi kwokę na indyjskich jachach, a ona mu wysiedzi zajazdki. Nie, p. Kordyasz, jest to bardzo podejrzana logika, jak na filozofa. Logika, szczególnie arystotelesowska, musi być bezwzględna. Te same zasady muszą prowadzić do tych samych wyników. Ktoś tu więc błądzi: albo Pan, albo św. Tomasz. Co do mnie, to do tej pory nie kwestionuję teologii św. Tomasza.

Z. Jalciniak

NA ZAMOWIENIA  
KIEROWANE  
DO  
ADMINISTRACJI  
„DZIŚ i JUTRO”  
SP. WYD. „PAX”  
WYSYŁA POWIĘSĆ  
BRUCE MARSHALL  
CHWAŁA CORY  
KRÓLEWSKIEJ  
PROSIMY O WPLATE  
ZŁOTYCH 750 za EGZ.  
NA KONTO PKO 1-8515  
LUB PRZEKAZEM  
POCZTOWYM



# UWAGI O ROKU TYM

Najpierw kilka cyfr. Od cyfr zawsze dobrze jest zaczynać, byle na cyfrach wyłącznie nie kończyć. Polska w roku 1938 liczyła prawie 33 miliony ludności. W roku 49 ilość mieszkańców określił rocznik statystyczny na blisko 25 milionów. W roku szkolnym 1937-38 w całym kraju czynne były 32 szkoły wyższe — zawodowe, artystyczne i akademickie. W roku akademickim 45/46 — takich szkół wyższych było 44, w rok później — 51, w dwa lata później — 53, w roku szkolnym 1948-49 osiągnęliśmy ilość 57. W 32 szkołach wyższych kształciło się przed wojną 49.500 młodzieży, w 1949 w 57 szkołach — 109.300 młodych chłopców i dziewcząt.

2 października br. rozpoczął się nowy rok akademicki, który przyniósł zwiększenie ilości uczelni. W kilku wypadkach zwiększenie to jest raczej formalne: rozdział wydziałów medycyny od Uniwersytetów i utworzenie samodzielnych Akademii Medycznych, z tym jednak, że równocześnie powstały nowe akademie medyczne jak np. w Białymstoku. Przeważnie jednak zwiększenie to oznacza rzeczywiste powstanie zupełnie nowych wyższych szkół. Powiększyła się znacznie ilość młodzieży. Dość — przykładowo — wymienić, że Akademia Górnicza w Krakowie dotychczas dysponująca zaledwie 900 miejscami, wskutek wybudowania nowych gmachów, przyjęła około 3000 studentów. Połączenie Politechniki Warszawskiej ze Szkołą Wawelberga, znakomicie wyposażona w bazę techniczną, pozwoli na intensywniejsze niż poprzednio wykorzystanie miejsc w obu uczelniach, tak że liczba studentów osiągnie ilość 9000.

Proszę porównać to ze statystyką ludności w całym kraju! I wziąć pod uwagę, że Polsce w latach 1928—1938 przybyło zaledwie siedem szkół wyższych, a na przestrzeni tychże lat ilość studentów też wzrosła jedynie o siedem tysięcy.

Może nawet nie zawsze w dostatecznie wysokim stopniu zdajemy sobie sprawę z jednej z najbardziej podstawowych zmian dokonanych przez rewolucję w naszym kraju. Oczywiście — już widzę poniekąd mówiących mi, że w krajach skandynawskich bez socjalizmu i rewolucji też nie ma analfabetów! Lecz brak analfabetów oznacza podciągnięcie dolnego stanu oświaty w kraju, ale nie zawsze podwyższenie średniej i górnej. Zresztą z oświatą jest tak jak z uprzemysłowieniem kraju — był okres, gdy młody kapitalizm, w szturmowym swym okresie, uprzemysławiał w istocie kraje, państwa, społeczeństwa! Lecz w chwili pewnej pociąg kapitalizmu odjechał, kto nie zdążył doń wsiąść na stacji musiał iść piechotą, gdyż w interesie pasażerów jadących pociągami nie było przyjmować nowych towarzyszy podróży. W interesie kapitalistów krajów, które uprzemysłowiły się w wieku XIX, leżało rozciągnięcie nad wszelkimi innymi narodami siatki takiej zależności ekonomicznej, by nie stracić w nich swych klientów, co nastąpić by musiało nieuchronnie, gdyby kraje te stworzyły własny przemysł. Dopiero przez łamawczy szranki międzynarodowych ograniczeń — a czyni to rewolucja — naród idący piechotą mógł skonstruować własny pociąg: socjalistyczny.

Tak jest i z oświatą. Owszem w interesie światłego kapitalisty leżało, by robotnik umiał czytać i pisać, był inteligentniejszym, lepszym pracownikiem. Tylko kołtun-kapitalista tego nie rozumiał. Natomiast w interesach kapitalisty nie leżało w żadnym wypadku zerwanie monopolu wiedzy wyższej, masowe dopuszczenie szerokiej warstw ludności do korzystania z wiedzy wyższej. Stąd ekskluzywność wyższych uczelni, co, oczywiście, przedłużało studia, podrażało je, w praktyce ograniczało możliwość korzystania — teoretycznie zagwarantowaną dla wszystkich — jedynie dla wybranych. Dopiero rewolucyjna przebudowa państwa umożliwiła zmianę tego systemu.

No i efekty nie kazały na siebie długo czekać. W ciągu pięciu lat

ilość wyższych uczelni wzrosła dwukrotnie, ilość studentów — biorąc pod uwagę równoczesne zmniejszenie się liczby mieszkańców państwa — jeszcze więcej. A rzecz nie wyczerpuje się na wyższych uczelniach. Rozbudowano kilkunastokrotnie sieć szkół zawodowych. Na wsiaach przed wojną jedna siedmioklasowa szkoła powszechna przypadła na siedemnaście gromad, dziś już tylko na siedem.

Gdy tego czy owego produktu nie ma w sklepach — tworzą się ogonki i wszyscy widzą od razu, że czegoś brak. I wymyślają. Gdy dzieciaki biegają od księgarni do księgarni (a czynią to również i studenci) szukając podręczników, których drukarnie na czas nie wyprodukowały, czy ministerstwo na czas nie ułożyło — to zaraz widać, że jest źle, i wszyscy krzyczą, pamiętając że przed wojną podręczniki te były. Ale nikt z narzekających nie pomyśli, że obecnie niemal trzykrotnie więcej studentów szkół wyższych dopytuje się o podręczniki.

I lepiej, że w Polsce jest dwakroć nowych szkół wyższych. Poziom będzie się podnosić — a do zmiany zasady potrzebna była rewolucja. Ot co!

Janusz ODROWĄŻ-PIENIAŻEK

## Człowiek z zapalkami

Wyskakiwali wszyscy. Prędko, po kolei zbliżali się do wąskiej szczeliny między dwoma rozsuwanymi skrzydłami drzwi bydlęcego wagonu. Zaslaniali ją sobą do połowy, przeciskali się, nikt nie w białej nocy. Stukot kół zagłuszał przyciszone rozmowy.

W pewnej chwili profesorowi zdało się, że został już sam. Po woli przeszedł w stronę szczeliny. Pola były ośnieżone, jasne, miarowo przesuwaly się słupy telefoniczne, obok, w dole sunęły dwa sznurki szyn.

Zahuczał, zastukał pociąg pędzący po nich w drugą stronę, migał oświetlonymi oknami, na przeciwległej ścianie wagonu błyskały świetlne pasma.

Kiedy przeleciał, profesor skoczył w pewną śmierć.

Upadł między torami, złapał się ręką za żelazo sąsiedniej szyny, trzymał się kurczowo, aby nie stoczyć się pod huczące obok głowy koła. Gdy się podnosił, zniknęło gdzieś daleko czerwone światło ostatniego wagonu.

Przebrnął rów, zaspę, poszedł na pola.

\*\*

Ubrany był dosyć ciepło, tak, jak go wzięto z ulicy. Mróz jednak był duży. Zaczęło go trząść zimno, nie czuł już stóp. Zdawało mu się, że szedł przez te pola już godziny. Miał dobry wzrok, a nie dojrzał wokół ani domu, ani drzewa.

Usiadł, aby odpocząć. Zaczął zabijać ręce, rozcierać skostniałe palce. Usłyszał, że ma w kieszeni zapalki, wyciągnął je prędko, ale było ich niewiele.

Pomyślał wtedy o sporej paczce owiniętej w gazetę, którą ukrył w wielkiej kieszeni wewnętrznej strony płaszczu.

\*\*

Obrócił zapalkę na dół palącym się czubkiem i przyłożył do papieru.

W Polsce demokratyczno-ludowej są pewne mankamenty, które się widzi, gdyż są to przeważnie mankamenty dystrybucji. Są też pewne drobne braki konsumpcji. Lecz są równocześnie rzeczy zupełnie fantastyczne, które — mniej dostrzegalne niż odbudowa Warszawy — uchodzą naszej uwadze, więc skłonni jesteśmy je lekceważyć. To uprzemysłowienie kraju odbywające się na długiej fali. I — drugie — to niesłychany wzrost szkolnictwa. Jest to wzrost tak ogromny, że stojąc wśród niego, poprostu nie dostrzegamy — jak nie dostrzegamy całości wielkiego płótna ze zbyt bliskiej odległości, — nie obejmujemy wzrokiem całości zmiany.

Nowy szkolny rok akademicki jest pierwszym rokiem szkolnym Planu Sześcioletniego. Dlatego może warto było — tak ku pamięci — kilka słów poświęcić tej doniosłej zmianie zaszłej w naszym kraju. Zagotowania w kieracie spraw codziennych — nie zawsze o tym pamiętamy. A toż to jest jedna z podstawowych zmian rewolucji.

ob.

LI-TAI-PE\*)

## Księżyc mojego dzieciństwa

Gdy byłem dzieckiem, księżyc jak złote koło  
Po kłębiastych obłokach toczył się wesoło.

Mnóstwo duchów tamtędy mknęło z chorągwiemi,  
Od drzew cynamonowych wiało słodyczami.

Złoty zajac poiął znakomite wino,  
Przy nim człowiek w księżycu wciąż kiwał łysinę. —

Aż smok połknął i księżyc i chłopa  
I noc nastąpiła ciemna jak żałoba.

Dziewięć ptaków czyhało, by wydziobać gwiazdy,  
ogowie cicho drzemią na obłokach, każdy

Na swej ogromnej łodzi kotłysz się smutny.  
Kto przyjdzie pozabijać te ptaki okrutne? —

Ale gdy księżyc z nocy na noc malał  
I tylko cienka kreska na niebie została,

Chciałem go sobie wbić pod żebrem jak puginał,  
By strach przed dalszym życiem raz na zawsze zginął

## Wojna w zimie

Tęsknię za tęczą  
I za ogrodami Tsin, mojej ojczyzny.  
Mimozy kwitną żółto. Skaczą gazy.  
Mamy wojnę, wojnę gorącą od słońca.  
Prażymy się z końmi na drodze.  
Niektórym poobcinają żelazne nogi.  
Razem z butami. Oczy pałają jak szkło.  
Dobrze tym, co spaleni na śmierć śpią pod białym śniegiem.

My nędzarze. Ubrania na nas podarte na strzępy.  
Skala tężeje jak żelazo. Żelazo stygnie jak kamień.  
Przelećz wiże się kręto.  
Po psiemu włączymy na księżycu.

Skóra pęka jak kora na pniu morwy.  
Nasza własna krew cieknie na miecze.  
Niezdolne rogi grzmia głucho.  
Kiedyś przyjemniej grałem na flecie.

Nie mam pojęcia, czy wrócę do domu.  
Tygrys, przerażony, bije ogonem.  
Szczery śnieżne zęby i ciemny zew  
z rykiem rzuca w dolinę.

Pokaż-no który swoje serce! Ptak upada z drzewa.  
Chodź tu i pokaż serce. Gdzie jest czerwone serce?  
Jodły stoją w śniegu. Skaczymy sztywno,  
Po gałęziach i kraczemy zamroczeni krwią.

O święte nieba! Na pomoc, spalcie mnie!  
Niech mnie zagrzebie śnieżna zawierucha,  
Niech piorun spali moje stężale czoło,  
Bym podniósł się nocą, jak ogień.

przeł. z niemieckiego: Władysław Dulęba

Li-tai-pe (698—762) — przedstawiciel, najwybitniejszy może, złotego okresu chińskiej literatury i sztuki. Poeta tragiczny — obdarzony raz po raz łaskami jednego z najpotężniejszych władców chińskich, cesarza Hiuena Tsunga, większą część życia spędza na włóczęgach. W wojnach, które szeroko rozslawily imię cesarza i wzbogaciły jego imperium, dostrzega nie kolorowe potyczki i pochody triumfalne — jak zwykle się je widzieć z pałacowych okien — lecz nędzę i śmierć tysięcy ludzi, wygnanych z domów po to, by stanowali szczeble drabiny, po której stąpa w chwale zlocisty bucik cesarza. Nie szczędi swoim czasom słów gorzkiej ironii, a sobie samobójczych myśli i ostatecznego ratunku przed tragiczną świadomością szuka w winie.

Zmarł podczas włóczęgi, wyczerpany jej niedoładami i nadużyciem alkoholu. Do dziś uważany jest za jednego z największych poetów chińskich. Niektóre jego pieśni do tej pory nie utraciły popularności wśród ludu chińskiego.

W. D.